

Z TEKI
MAMELUKA GALICYJSKIEGO.

UŁOŻYŁ

KULIK Z NAD WISŁY.

(CAŁY DOCHÓD PRZEZNACZONY NA FUNDUSZ
OPIEKI NARODOWEJ.)

LIPSK:

W KOMISSJI U E. Ł. KASPROWICZA.

1871.

(Cena 20 Sgr.)

Z TEKI

MAMELUKA GALICYJSKIEGO.

Z TEKI
MAMELUKA GALICYJSKIEGO.

UŁOŻYŁ

KULIK Z NAD WISŁY.

„Należy to do pewników przyrody,
że prawda zwyciężyć musi.“
Smolka: Mowa na zgromadzeniu
w dziedzińcu ratuszowym 27. Czerwca 1869.

(CAŁY DOCHÓD PRZEZNACZONY NA FUNDUSZ
OPIEKI NARODOWEJ.)

LIPSK:
W KOMISSJI U E. Ł. KASPROWICZA.

—
1871.



25531

Mój kuzyn Czapla dając pozwolenie ogłoszenia swych „listów o delegacji galicyjskiej w Wiedniu“, zapomniał widocznie, że prawda w oczy kole.

Listy owe wywołały burzę nie tylko przeciw niemu, ale i przeciw osobom nie będącym z żadnej styczności z ich publikacją — burzę straszną, która przeniosłszy się z dziennikarstwa do zgromadzeń przedwyborczych, a ztąd do Sejmu, skończyła się zwycięstwem „mniejszości delegacyjnej“, a upadkiem „Mameluków“.

Lecz czy dowodzi, że Czapla miał niesłuszność? Chwyć wprawdzie za pióro Dr. Zyplikiewicz, by kłam zadać Czapli, a za Dr. Zyplikiewiczem wyruszył Mateusz Żóraw, dawny mój znajomy z nad brzegów Wisły — lecz cóż mu do wiedli?

Dr. Zyplikiewicz wydrukował w Gazecie Narodowej telegrafowany z Wiednia odpis protokołu komisji konstytucyjnej, wedle którego wniosek Kaiserfelda brzmiał: „unbeschadet der für Galizien am 27. Juni 1867 erlassenen Regulativs“, a nie jak Czapla twierdził: „mit Ausnahme von Galizien, für welches das Regulativ vom 27. Juni 1867 zu gelten hat.“ Nie mogłem się przekonać kto ma słuszność, Czapla czy Dr. Zyplikiewicz? znajomy mój w Wiedniu bo-

wiem, do którego się udawałem by rzecz sprawdził, odpisał mi: że akta komisji konstytucyjnej tylko członkom Rady Państwa są przystępne, odpisów zaś z protokółów komisyjnych nie wydają, gdyż protokoły te prowadzą się głównie dla użytku Referenta, dla tego też do protokółów wciągane bywają dosłownie tylko te wnioski, które przez komisję zostały przyjęte. Lecz właśnie dla tego, że Dr. Zyplikiewicz nie był już członkiem Rady Państwa wówczas, gdy się do Wiednia udawał po ów telegrafowany odpis protokołu; że wniosek Kaiserfelda nie może się znajdować w protokóle, ponieważ nad nim nawet nie głosowano, gdyż go Kaiserfeld cofnął; nareszcie i dla tego, że telegram ów przez nikogo nie był podpisany — wolno zdaje mi się wątpić o autentyczności tekstu Dr. Zyplikiewiczowi z Wiednia telegrafowanego. Przypuszczam wszakże, że tekst Dr. Zyplikiewiczowi telegraficzną drogą udzielony jest autentyczny, i zapytuję wszystkich nieuprzedzonych, czy przez to rzecz, którą Czapla w owym liście z 10. Lipca utrzymywał, została zmienioną? Wszak i tekst Dr. Zyplikiewicza dowodzi, że Kaiserfeld chciał w konstytucji grudniowej zawarować Galicji odrębne stanowisko co do wychowania publicznego, skoro wydane dla Galicji rozporządzenie z 27. Czerwca 1867 miało zostać nienaruszonym; a o to właśnie chodziło Czapli w liście z 10. Lipca, nie zaś o słowa, jakich użył Kaiserfeld.

Co się zaś tyczy szanownego Żórawia, ten, odkąd go przyswojono i użyto do strzeżenia pańskiego drobiu, stracił widocznie wrodzoną Żórawiom przenikliwość. Chciał zdyskredytować Czaplę, a działał, że nawet uprzedzeni przeciw Czapli zaczęli przyznawać, iż w listach jego o delegacji dużo jest prawdy.

Dla Żórawia byłoby może lepiej, gdyby był milczał; lecz dobra sprawa zyskała na tem na wszelki wypadek; co

widząc pomyślałem sobie: jeśli nawet to na coś się przydało, co napisał Żóraw, dla czegożby Kulik nie miał się pokusić o sławę autorską?

Razu jednego, a było-to właśnie gdy Gazeta Narodowa ogłosiła, że Mamelucy pobici z kretesem, spotkałem podczas mych wędrówek po Naddniestrzańskich błoniach dogorywającego Mameluka. Zapytałem, czy nie mogę mu w czym pomódz, będąc bowiem „dzikiem“ nie mam do Mameluków zawziętości, a zresztą oni także są stworzeniami boskimi. Zamiast odpowiedzi wszakże, odkrył on pierś i wskazując na strzałę, która w niej tkwiła, rzekł: patrz, ona zatruta zawiścią, niewdzięcznością i głupotą ludzką; na taką ranę nie ma lekarstwa. Lecz oto weź moją Tekę, znajdziesz w niej — — i nie dokończywszy, wyzionął ducha.

Po powrocie do ziemi rodzimej zacząłem wertować tę Tekę: dużo rzeczy nie rozumiałem, innym nie mogłem dać wiary, i już chciałem rzucić do kominka całą tę Tekę, gdy mi się ukazał duch owego Mameluka, i wytłumaczył czegom nie rozumiał, udowodnił czegom nie chciał wierzyć, i uzupełnił czego w Tece brakowało. Odtąd duch ten jest na moje zawołanie; od niego też dowiedziałem się o wszystkim, co się stało od czasu gdy przyszedłem w posiadanie tej Teki; i to wszystko postanowiłem ogłosić.

Wiem że ci i owi będą się gniewać, bo ludzie w ogóle, a Mamelucy w szczególności nie lubią prawdy. Lecz prawda chociaż boli, zdrowa; a zresztą należę, jak już rzekłem, do kulików „dzikich“, wiadomości zaś moje mam od „ducha“: niech więc ci których rozgniewam, nie szukają odwetu ani na Stańczykach, ani na Rezolucjonistach, ani na Mamelukach, ani na Demokracjach, lecz niech się wprost biorą do owego ducha; jak zaś do niego się dostać, to

wskaże szanowny Wiçe-prezes Towarzystwa narodowo-demokratycznego, biegły jak mię zapewniano w wywoływaniu duchów.

Kraków, 15. Października 1870.

KULIK Z NAD WISŁY.

MAMELUCY GALICYJSCY.

Mameluctwo jest tak stare jak ród ludzki; bo już tak stworzył Bóg ludzi, że lubią iść ślepo za kimś lub za czemś: jeśli nie za prawdziwym, to za fałszywym prorokiem; jeśli nie za Cezarem, to za Kapucynem; jeśli nie za chorągwią sławy, to za workiem mamony. U jednych jest to wynikiem lenistwa umysłowego, u drugich brakiem cywilnej odwagi, u innych znów próżnością, która goni za odznaczeniem się — choćby liberją. Nie więc dziwnego, że i w Galicji, której mieszkańcy są także dziećmi Ewy, istniało Mameluctwo od dawien dawna, aczkolwiek nazwa Mameluków pojawiła się dopiero w lecie 1868 r. I tak byli tam, o ile ja sam pamiętam, Mamelucy Czartoryskiego i Mierosławskiego, potem pojawili się Mamelucy księdza Odalgiewicza, nareszcie Mamelucy o barwach żółtych i zielonych, a nawet Smolkiewiczze.

Dawniejsi Mamelucy galicyjscy byli to sobie Mamelucy jak w innych krajach; lecz Mameluctwo galicyjskie nowego autoramentu ma to do siebie, że skoro się zetknie z ludźmi niezawisłymi, woła w niebogłosość: Mamelucy! tak samo jak żyd, gdy kogo bije, zwykł krzyknąć: Gwałtu!

I o tem to Mameluctwie, jako czysto galicyjskiem, pisać zamyślam.

Gdy w r. 1861 powołano wraz z innymi krajami monarchji rakuskiej do życia konstytucyjnego także Królestwo Galicji i Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, posłowie polscy tego królestwa, bez względu, czy ich wysłała Galicja czy Lodomerja, czy Wielkie Księstwo Krakowskie, bez różnicy, czy przybyli ze wschodu, czy z zachodu, tworzyli w Sejmie jedno stronnictwo, i jak jeden mąż występowali w Sejmie przeciw Świętojurcom, a w Radzie państwa przeciw Centralistom. I ra-

dowało się serce każdego patrioty, bo ta zgoda posłów polskich udzielać się zaczęła całemu społeczeństwu polskiemu w kraju.

Lecz trwało to tylko przez pierwszy perjod sejmowy. Już bowiem na początku roku 1866 zaczęła się niektórym ludziom przykrzyć ta zgoda. „Gdyby nie było stronnictw, to trzeba by je stworzyć“, powiedział jakiś angielski mąż stanu. Powiedzenie to w ustach Anglika mające znaczenie, zaczęli galicyjscy mężowie stanu powtarzać bezmyślnie, i powtarzali tak długo, aż sami w to uwierzyli, że nam koniecznie potrzeba stronnictw, i znaleźli takich, którzy znów im uwierzyli. I tak pp. Jasieński i Gromann dla wytworzenia stronnictwa demokratycznego, zawiązali we Lwowie Towarzystwo narodowo-demokratyczne, podczas gdy w Krakowie pp. Tarnowski Stanisław i Wodzicki Ludwik założyli „Przegląd polski“, w celu utworzenia stronnictwa szlachecko-zachowawczego. A ponieważ obecnie tak stronnictwo demokratyczne jak stronnictwo szlacheckie są anachronizmami, zabiegi owych panów wytworzyły tylko Tromtadratów i Stańczyków. — Nie równie szkodliwszem może się stać nie tylko dla kraju, ale dla sprawy polskiej, stronnictwo, do którego kamień węgielny położyli niektórzy panowie krakowscy, gdy po zawarciu ugody z Węgrami postanowiono znowu zwołać Radę państwa; a mam tu na myśli stronnictwo sławiańskie.

Wiadomo że Czesi hołdując idei sławiańskiej, od dawna byli wrogami Madjarów; wiadomo jak fatalnie wpłynęli na zawiąkanie sprawy węgierskiej w r. 1848 i na krwawe jej rozwiązanie w r. 1849; jaki nareszcie później brali udział w ujarzmieniu Madjarów i podburzaniu przeciw nim plemion sławiańskich w Węgrzech osiadłych. Nic więc dziwnego, że Czechom nie w smak była ugoda zawarta między Koroną a Węgrami, usuwająca Czechów od wpływu na Sławian węgierskich, a co więcej, rugująca ich z posad, które w Węgrzech zajmowali, dzięki Bachowsko-Thunowskim rządóm. — Zresztą Czechy nie są tylko siedzibą apostołów Sławiańszczyzny, filją, że tak powiem, moskiewską pansławizmu w Austrii, i matecznikiem dostarczającym Austrii urzędników i zbirów; są one także gniazdem feudalizmu. Szlachta czeska — jeśli Thunów, Taxisów, Galasów, Clamów, Walisów, Belcredich i innych im podobnych potomków kondotjerskich czeską szlachtą nazwać można — była zawsze naj-

silniejszą podporą absolutyzmu w Austrii; czeska narodowość była jej obojętną, do niedawna nawet wstrętną, a jeśli w najnowszych czasach do niej się przyznała, to tylko dla tego, że w niej spostrzegła posłuszne dla dopięcia swych celów narzędzie. Naturalna więc, że szlachcie tej nie mogła być miłą ugodą węgierską, gwarantującą konstytucjonalizm nie tylko w Węgrzech, ale i w niewęgierskich krajach monarchji.

Łatwo więc pojąć, dla czego uгода ta źle została przyjętą w Czechach. Trudniej sobie wy tłumaczyć, dla czego ona wywołała nieukontentowanie w pewnych kołach krakowskich. Prawda, że od lat kilkunastu osiadł w Krakowie pewien magnat galicyjski, który za młodu, gdy my byliśmy sobie po prostu Polakami, a Słowiańszczyznę uważaliśmy za przedmiot już tylko dla archeologa przydatny, w podróżach swych zaprzyjaźniwszy się z czeskiemi, słowiańskimi i chorwackimi uczonymi, przesiąkł ideą sławiańską do tego stopnia, że go ani postępowanie Jela-czyca pod Wiedniem w roku 1848, ani zachowanie się Thuna podczas swego ministerstwa, wyleczyć nie mogło. Miałaby wpływ tego magnata na wyższe towarzystwo krakowskie zdziałać to zjawisko, że kiedy ogół Polaków z radością powitał wieść o zawartej z Węgrami ugodzie, panom krakowskim pochmurniało czoło? Lub może to przypisać kilkoletniemu pobytowi Clam - Martinitza pośród tych panów, i sympatjom, jakie w nich ten czeski mąż stanu dla swej polityki rozbudzić potrafił?

Bądź co bądź, gdy po zawartej z Węgrami ugodzie zapowiedziano zwołanie Rady państwa i rozpisano wybory do sejmów krajowych, panowie krakowscy wysłali dwóch z pomiędzy siebie do Pragi, by się z Czechami porozumieć co do wspólnej akcji; a zjechawszy potem do Lwowa na sejm, zaczęli prowadzić politykę przez Czechów poleconą, chociaż polityka ta do kraju naszego stosować się nie dała. Ponieważ Czechy nie chciały uznać tej Rady państwa, ani do niej wybierać, więc panowie krakowscy pchali Sejm galicyjski na tę samą drogę. Oni to w komisji adresowej wprowadzili do adresu ustęp, w którym Sejm zaprzeczał Radzie państwa prawa uchwalania czegokolwiek prawomocnie — ustęp, zostający nawet w sprzeczności z całą treścią adresu; a gdy z powodu tego ustępu rząd zagroził rozwiązaniem Sejmu i komisja adres cofnęła, panowie ci głosowali przeciw wysłaniu delegacji do Rady państwa — co wszakże,

powiedziawszy nawiasem, nie przeszkodziło, że mandaty przyjęli i do Rady państwa pojechali.

Pojmuję tych panów, którzy dawszy może pewne przyrzeczenia Czechom, starali się dotrzymać słowa, choćby z narażeniem własnego kraju na represje ze strony nieprzyjaznego mu rządu; ale cóż powiedzieć o tych dwudziestu kilku czy trzydziestu posłach, którzy głosowali z nimi, nie będąc z Czechami związani, nie wiedząc nawet, jakiego to rodzaju sojusz panowie krakowscy zawarli z Czechami; którzy drżąc ze strachu na samą myśl, że Sejm mógłby uchwalić nieobesłanie Rady państwa — potem, gdy Sejm ogromną większością uchwalił wysłanie delegacji do Wiednia, krzyczeli w niebogłosy, że Sejm abdykował, że większość sejmowa splamiła godność narodową, że powtórzyła się Targowica!

Zdaniem mojem godność narodowa jest rzeczą za nadto wzniosłą, by ją splamić mogło głosowanie kilkudziesięciu ludzi; również niedorzecznością jest porównywać 2. marca 1867 z Targowicą; nie ma też najmniejszego sensu twierdzenie, że Sejm abdykował dla tego, iż wysłał delegację do Rady państwa, w której właśnie miano przedsiębrać rewizję konstytucji. Jeśli w ogóle była jaka abdykacja, to chyba ze strony tych panów, którzy poddali się kierownictwu czeskich polityków, i ze strony tych posłów, którzy ślepo poszli za owymi panami. Istni Mamelucy, a może bezwiedni odstępcy idei polskiej!

Jeśli mi prawią o Słowiańszczyźnie i o „braciach Słowianach“, tacy ludzie jak Malisz, Gromann, Widmann, Smolka, Starkel, Zaak i t. p., to mię to nie dziwi; bo to nie polska krew, a przysłowie mówi: „Naturam furca expellas, tamen usque redibit.“ Ale jeśli tak samo przemawiają Lubomirscy, Potoccy, Tarnowscy, Wodziccy, to mię przeraża. Jest bowiem coś bolesnego, godność narodową poniżającego w tych naszych teraz tak ulubionych odzywaniach się do „słowiańskich braci“; jest coś niewieściego i małodusznego w naszych przymileniach się do tej bezdusznej i bezdziejowej Słowiańszczyzny. Uściskami naszymi nie ożywimy tej skamieniałej Galatei, wyzioniem w nich tylko resztki naszego ducha i męstwa. — Serby i Czechy nie rozumieją naszego głosu; Serby i Czechy nie zważą na szali losów słowiańskich; oni tam padną, gdzie ostatecznie myśl Polski lub Rosji przeważy; a Rosjanie w odezwanii się naszym do nich z radością powitają — nasz hymn pogrzebowy.

Wiedzą oni, ci „bracia Sławianie“ tak dobrze jak my, w imię czego między sobą spór wiemy. Świadomo lub instynktowo, czujemy wszyscy znaczenie walki naszej. Walka to dwóch wielkich światów, walka zachodu i wschodu, wolności i despotyzmu, cywilizacji i barbarzyństwa. Kto z tego boju wyjdzie zwycięzcą, Bogu to jednemu tylko wiadomo; ale nie myślny, aby ta wiekowa walka zakończyć się mogła jak „spór między braćmi“, drogą pojednania; nie mówmy więc o braterstwie z tym, którego tłoczące kolano czujemy na piersi, co pęka. Precz z temi reminiscencjami jakiegoś przedhistorycznego braterstwa, gdy jedyne historyczne tu braterstwo — Kaina i Abla!

Podobne umizgi nie pozyskają nam ani jednego sprzymierzeńca, nie rozbiją ani jednego wroga — i tylko w nas samych rozczyzną siłę oporu, zamącą wyobrażenia o najprostszych naszych obowiązkach i prawach, i we mgłę zanurzą naszą wielką tradycję; a jak to powszednie, tylekroć nadużywane „kochajmy się“ często bywa tylko pożegnaniem ostatków trzeźwości, tak to sławiańskie „kochajmy się“ może się stać pożegnaniem reszty polskości. Nie bratać się nam, ale walczyć trzeba do ostatniego, ale ginąć wreszcie, jeśli już zginąć nieodgadniony w swych wyrokach Bóg nam przeznaczył. Dla ocalenia od zagłady radzą nam ci sławiańscy apostołowie zostać Sławianami; „Polska nie ma przyszłości, chyba w zlaniu się w Sławiańszczyznę“, powtarzają nam od niejakiego czasu. Nie, moi panowie! Polska tak długo ma przyszłość, jak długo o sobie nie zwątpiła; a jeśli już koniecznie ginąć mamy, gińmy przynajmniej z wysoko podniesionym naszym, znanym i szanowanym sztandarem; gińmy z całym nienadwątłonym przeświadczeniem o naszym posłannictwie; gińmy na jasnym polu naszej dziejowej sławy, a nie na mrocznych moczarach wymarzonej jakiejś Sławiańszczyzny!

Z mniejszości sejmowej, która głosowała przeciw obesłaniu Rady państwa, weszło siedmiu posłów w skład delegacji. Tam śpiewając ciągle piosnkę, że nam nie wolno poświęcać Czechów i innych „braci Sławian“, wyszydzała ci panowie politykę większości, dążącą do osiągnięcia dla kraju korzyści z każdej danej sposobności bez względu na „braci Sławian“, a okrzyczawszy politykę utylitarną jako niegodną Polaków, nie dozwolali, by kraj cokolwiek uzyskał, jeśli równocześnie innym

krajom tego samego nie dawano. Ponieważ zaś niemal każdy kraj żądał czego innego, a nadto rząd i Rada państwa skłonne może do niejednej koncesji dla Galicji, nie chciały lub nie mogły jej dać Czechom, Słowiańcom, lub Goryczanom — skończyły się na konstytucji grudniowej, która nikogo nie zadowolniła: dla nas bowiem była za nadto centralistyczną, a Niemcom wydała się za nadto autonomiczną. I być inaczej nie mogło, skoro nie chcąc przez wzgląd na „braci Słowian“ domagać się dla Galicji odrębnego stanowiska, upieraliśmy się przy marocie urzędzenia monarchji austriackiej na jednolitych podstawach.

Delegaci dbający przedewszystkiem o swój kraj, czyli holdujący okrzyczanej wówczas polityce utylitarnej, przekonawszy się namacalnie, że polityka panów krakowskich i ich adherentów, czyli tak zwana polityka zasady, opiekująca się wszystkimi szczepami sławiańskimi, nie krajowi nie przysporzyła — postanowili przedłożyć krajowi program czysto polski, wykazujący co nam do rozwoju i zabezpieczenia naszej narodowości jest niezbędnem, czego przeto domagać się powinniśmy, bez względu na inne kraje i szczepy, i nie troszcząc się o to, czego innym krajom i szczepom do ich szczęścia potrzeba. Zjechawszy się tedy na sejm r. 1868, ułożyli program żądający od kraju: prawa stanowienia o sposobie wyboru do Rady państwa; ustawodawstwa szkolnego, cywilnego i karnego; zaprowadzenia języka polskiego w szkołach, sądach i urzędach osobnego najwyższego trybunału sprawiedliwości, pewnej kwoty na opędzenie potrzeb kraju, nareszcie odpowiedzialnego sejmowi rządu krajowego i ministra dla Galicji w Radzie korony; słowem, program, wedle którego kraj, nie wdając się w urządzenie całej monarchji, żądać miał dla siebie odrębnego stanowiska mniej więcej takiego, jakie ma Krocja. Do tego programu przystąpiło czterdziestu kilku posłów, którzy utworzyli tak zwany Klub polski.

Ukonstytuowanie się tego klubu nie było, jak łatwo się domyśleć, na rękę panom krakowskim; to też gdy Klub polski ogłosił swój program w Gazecie Narodowej, zwolennicy owych panów, celem zdyskredytowania go na samym początku, nazwali go „klubem Mameluków“.

Dla czego klub polski, klub, którego program czysto polski żądał dla kraju odrębności dla tem większego zabezpieczenia narodowości polskiej, nazwano ubliżającym mianem

Mameluków, o to nikt nie pytał; a niejednen, co tę nazwę powtarzał, nie wiedział nawet, że tem hańbi posłów, usiłujących sprowadzić sejm i kraj na tory czysto polskie, i nie przeczuwał, że dyskredytując w kraju i za granicą separatyzm polski, pracuje dla tych, którzy pragną utopić Polskość w nieokreślonym jakimś morzu Sławiańszczyzny. Lecz kto zna bezmyślność publiczności naszej i jej pociąg do wszystkiego, co pachnie skandalikiem, ten dziwić się nie będzie, że publiczność galicyjska przyswoiła sobie tę przezwę; dziwnem wszakże pozostanie, że po przyjęciu tego programu przez komisję konstytucyjną, a następnie przez Sejm (tak zwana rezolucja bowiem jest owym programem „Mameluków“ rozpuszczonym tylko wodą, szlachecko-biurokratyczną), ci sami, którzy twórców owego programu nazwali Mamelukami, nazwali się Rezolucjonistami, niby jedynymi obrońcami rezolucji, przezywając ciągle Mamelukami tych, co pierwsi treść jej przyjęli za swój program i stale go bronili w Radzie państwa przeciw Centralistom, a potem nawet w Sejmie bronić musieli przeciw „Rezolucjonistom“. Gdy bowiem w grudniu 1868 delegacja postanowiła żądać od ministerstwa, aby sprawę rezolucji wniosła do Rady państwa, Dr. Zyblikiewicz, a z nim nie tylko reszta zwolenników polityki krakowskiej, ale nawet „ojciec rezolucji“, Dr. Grocholski, byli tego zdania, że należy zaniechać to żądanie i ograniczyć się na wniesieniu dosłownej treści rezolucji przez którego z delegatów. Znaczyło to to samo, co pogrzebać rezolucję na samym jej wstępie do Rady państwa; każdy bowiem przyzna, że między uchwałą przez Sejm powziętą, a wnioskiem posła, chociażby zawierał dosłowną treść owej uchwały, ogromna zachodzi różnica. Mamelucy sprzeciwili się temu stanowczo, a mając wówczas jeszcze większość w delegacji, przeparli, że rezolucję jako wniosek sejmowy, a nie jako wniosek pojedynczego posła do Rady państwa wniesiono; za to ich Gazeta Narodowa, organ Rezolucjonistów, hańbiła w oczach kraju, powtarzając bez ustanku, że Mamelucy odstąpili od rezolucji, i dokazała, że kraj w to uwierzył, albo zahukany udawał, że wierzy — do tego stopnia, że gdy na Sejmie roku 1869 Mamelucy domagali się, aby Sejm nie załatwioną w Radzie państwa rezolucję ponownie uchwalił, większość sejmowa pod presją dziennikarstwa i galerji poszła za wnioskiem Rezolucjonistów i miasto ponowienia rezolucji powzięła następującą uchwałę: Sejm obstaje przy rezolucji z roku 1868 — czem

działała, że rezolucja nie mogła już do Rady państwa wejść jako wniosek sejmu, lecz mogła tam tylko jako wniosek pojedynczego posła dostać się, o co panom rezolucjonistom głównie chodziło. Zepchnięta tym sposobem rezolucja z piedystału wniosku sejmowego, a zepchnięta przez tych, którzy się głosili jedynymi jej obrońcami, weszła do Rady państwa jako wniosek Dra Grocholskiego, i doczekała się tego, że komisja ad hoc wybrana, nie potrzebując dla wniosku posła mieć względów takich, jakieby musiała mieć dla wniosku sejmu galicyjskiego, przeszła nad nim do porządku dziennego.

Ale dla czego, zapyta kto, owi panowie sprzeciwiali się w delegacji domaganiu się od rządu, by rezolucję wniósł do Rady państwa jako wniosek sejmowy? Dla czego potem w Sejmie ci sami panowie razem z Rezolucjonistami sprzeciwiali się ponownemu uchwaleniu rezolucji? Oto, gdy w grudniu 1868 naradzali się ministrowie, jak ma rząd postąpić z rezolucją galicyjskiego sejmu, hr. Alfred Potocki był tego zdania, że rząd nie jest obowiązany wnosić tej rezolucji do Rady państwa, i że wniesienie jej należy zostawić któremu z delegatów galicyjskich. Aby się więc stało, jak sobie minister rodak życzył, wniósł Dr. Zyblikiewicz w kole, aby który z delegatów rezolucję jako swój wniosek w Izbie postawił. Wniosek ten Dra. Zyblikiewicza upadł w kole w grudniu 1868, lecz odnowiono go po świętach, a tym razem już i „ojciec rezolucji“ przyłączył się do zdania Dra. Zyblikiewicza. I proszę mi powiedzieć, kto tu zasłużył na nazwę Mameluków? Czy Dr. Zyblikiewicz i tak zwana mniejszość delegacyjna, która zdanie ministra rodaka, wypowiedziane na radzie ministrów, usiłowała przeprowadzić w kole, nie zważając że przeto rezolucja straciłaby swój właściwy charakter? Czy też większość delegacyjna, która obowiązek obstawania przy woli sejmu stawiała wyżej niż obowiązek grzeszności dla ministra rodaka? — —

Jest w rezolucji punkt, który niepodoba się niektórym panom w Krakowie i Lwowie, a szczególnie p. Krzczunowiczowi; a tym punktem jest ósmy. Aby więc mózdz odstąpić od tego punktu i zmodyfikować go w sposób odpowiedni zapatrywaniu się tych panów, a mianowicie, aby w miejsce rządu krajowego mózdz położyć ulubione kanclerstwo, nie chcieli ci panowie, aby Sejm z r. 1869 powtórzył dosłownie rezolucję z r. 1868, jak tego żądała większość delegacyjna i jej stronnicy w Sejmie.

Rezolucjoniści, ci jedyni obrońcy rezolucji, zdradzili ją, dla dogodzenia pewnym panom chorującym na kanclerstwo, co wszakże nie przeszkadzało im nazywać Mamelukami tych, którzy krajowi, a nie pewnym osobom służą, i oskarżać ich w swym Monitorze o zaprzepaszczenie rezolucji!

Gdy na wiosnę roku 1869 minister rodak po za plecami delegacji wdał się z rządem w jakieś rokowania co do sposobu załatwienia rezolucji, i oświadczył w Radzie ministrów, iż delegacja opuści Radę państwa, jeśli rząd nie uczyni zadość życzeniom przezeń sformułowanym — a Rada ministrów propozycję jego odrzuciła — tak zwana mniejszość delegacyjna wraz z przewodniczącym koła usiłowali nakłonić delegację do opuszczenia Rady państwa, a przynajmniej do złożenia mandatów in gremio, by oszczędzić ministrowi rodakowi nieprzyjemnej sytuacji, w jakiejby się vis-à-vis swych ministrów kolegów po owem oświadczeniu znalazł, gdyby delegacja nie wystąpiła z Rady państwa.

Nie byłoż to istnem Mameluctwem? A przecież, gdy większość delegacji, nie chcąc kompromitować interesów kraju, nie dała się nakłonić ani do opuszczenia Rady państwa, ani do demonstracyjnego składania mandatów, tak zwana mniejszość narzekała na „mameluctwo“ większości, a uslužne dzienniki wtorowały jej!

Usposobiwszy takimi krzykami opinię publiczną przeciw większości delegacyjnej, opanowała tak zwana mniejszość przy pomocy rezolucjonistów Sejm z r. 1869, a wyrugowawszy celniejszych „Mameluków“ i wybrawszy w ich miejsce „swoich“, objęła ster delegacji, zapowiadając, że teraz inaczej rzeczy pójdą, i że za parę tygodni delegacja albo uzyska rezolucję, albo wystąpi z Rady państwa. I dotrzymała słowa? Delegacja przybywszy do Wiednia, podporządkowywała przez kilka miesięcy energicznie sprawy krajowe sprawom państwowym, a potem ostatniego marca 1870 ustąpiła z Rady państwa — otrzymawszy z gory skazówkę! A cóż na to kraj? Nazywał, jak przedtem, Mamelukami dawniejszą większość delegacyjną!

Po tym bohaterskim czynie, były prezes koła zwołał marszałków powiatowych w celu utworzenia centralnego komitetu do przeprowadzenia wyborów na Sejm. Wprawdzie Sejm nie był rozwiązany, nie było nawet prawdopodobieństwa, że będzie rozwiązany, gdyż kilkanaście dni przedtem cesarz dał dymisję ministrom za to, że chcieli rozwiązać Sejm galicyjski; lecz

panowie marszałkowie na takie bagatele nie zważali, ponieważ ksiązę marszałek pochwalał krok byłego prezesa koła. Zjechali się więc do Lwowa na 2. maja, i zgodziwszy się po sąsiedzku na komitet centralny, a nawet na dwa komitety centralne, jeden dla wschodniej, drugi dla zachodniej Galicji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, przyjęli na oślep listę, którą im przedłożył były prezes koła.

Pytam się, czy może być większe Mameluctwo? A przecież komitet ten zawiązano w celu, by nie dopuścić do Sejmu „Mameluków“! Wyparto też prawie wszędzie „Mameluków“ i złożono Sejm — jaki? Pomijam, że w porównaniu z poprzednim, stronnictwu Moskalofilów przybyło ośm głosów; ale jak wyglądało stronnictwo polskie? Połączone Mameluctwo żółto-zielone wodziło rej, a kokietując z jednej strony z świętojurcami, z drugiej z Mameluctwem demokratycznym, które byle proroka swego przemycić do delegacji, nie wstydziło się być ogonem pańskim — robiło co mu się podobało, albo raczej to, co mu z góry polecono. Dawni „Mamelucy“ rozbici, znękani, nie śmieli głowy podnieść. Mamelucy nowego autoramentu byli panami sytuacji; bo też zasłużyli na to. Proszę tylko przypomnieć sobie, jak statecznie oni słuchali zawsze swych panów, a w szczególności, przez jakie próby ogniowe przechodzić musiało w ostatnim roku Mameluctwo demokratyczne. „Jestem dziś prawie sam jeden“, wołał prorok demokratów w Sejmie r. 1869, „lecz nie minie kilka miesięcy, a słowa moje przelecą kraj cały, i kraj cały stanie po mojej stronie, po stronie federacji.“ Rzekł, a demokracja narodowa wołała: Nie ma zbawienia, tylko w federacji! „Kozą przyjdzie do woza, tylko nie wysyłajmy delegacji“, wołał tenże prorok podczas wyborów uzupełniających we Lwowie w roku 1869, a Towarzystwo demokratyczne wtorowało: Kozą przyjdzie do woza, tylko nie wysyłajmy do Rady państwa. Potem rzekł prorok: „Idźmy ręka w rękę z opozycją prawnopaństwową, a zwyciężymy.“ I znowu adepci jego wołali: Idźmy ręka w rękę z Czechami; zdrajcą, kto z nimi iść nie chce, choćby nas wiedli do Moskwy; bo prorok powiedział: im prędzej nas Moskwa weźmie, tem lepiej dla nas — i łamali umowy, które dzień przedtem z stronnictwami byli zawarli, i odwoływali to, co wczoraj publicznie wypowiedzieli — bo prorok powiedział: Ja tak chcę — i uchwalali, że ośm jest więcej niż dziewięć, bo prorok zagroził, że ich porzuci, jeśli

tego nie uczynią. Nareszcie gdy Sejm się zebrał w roku 1870, rzekł prorok: „Wprawdzie Czechy nie pójdą do Rady państwa, lecz ja chcę tam pójść, przeto należy wybrać delegację.“ I wnet demokracja narodowa zaczęła dowodzić, żeśmy powinni podtrzymywać Austrię, bo tego wymaga interes Polski (kubek w kubek to samo, co przez trzy lata utrzymywali „Mamelucy“), że nie wysyłając delegacji, rozbiliśmy Austrię, że przeto do Rady państwa wybierać należy.

Po tak świetnych dowodach posłuszeństwa dla swego przewodźcy, mogło stronnictwo demokratyczne liczyć na łaskę mameluctwa żółto-zielonego, która go też nie minęła przy wyborach do delegacji.

Że w Sejmie tak złożonym panowała zgoda, był ład i porządek, to się przez się rozumie. Wybory do komisji, do wydziału i do Rady państwa odbywały się z taką precyzją, jak publiczne egzamina w szkołach Ojców Jezuitów. Przyszły kanclerz galicyjski i przyszły namiestnik Galicji układali listy, a Mamelucy ich głosowali jak jeden mąż. Wybrano też na nowo dawniejszych wydziałowych jako „swoich“, z wyjątkiem jednego, który za nadto ma rozumu; a delegację złożono tak, aby nią mogli desygnowani dygnitarze kraju kierować jak im się podoba. Święta też panuje zgoda i w wydziale krajowym i w delegacji w Wiedniu.

A cóż na to mówi Gazeta narodowa? Gazeta przedrukowuje przeszłoroczne artykuły Dziennika polskiego: wzywa kraj, by korzystał z tych autonomicznych urzędzeń, jakie już ma; zachęca do pracy wewnętrznej, a delegacji radzi prowadzić politykę utylitarną! Przytem od czasu do czasu rzuci kamieniem lub błotem na „Mameluków“, a publiczności czytającej nawet przez myśl nie przejdzie, że to są właśnie „Mameluckie“ doktryny, które czyta, że to jest „ohydny ministerjalizm“, „obrzydliwe wysługiwanie się Niemcom“, „splamienie godności narodowej“, za co „Mameluków“ słuszna spotkała kara.

Zginęli „Mamelucy“ — niech żyją Mamelucy!

KANCLERSTWO GALICYJSKIE.

Często się zdarza, że ludzie poważni, przyzwyczajeni brać wszystko na serjo, nie rozumieją się na żartach. Z takimi ludźmi w ogóle nie powinno się żartować, a wcale już nie godzi się żartować sobie z nich.

Pewnemu politykowi galicyjskiemu zdarzyło się, iż będąc delegatem do Rady państwa w roku 1867, ściągnął na siebie z powodu nie bardzo fortunnej mowy, mianej w Izbie poselskiej, krytykę dzienników, a co więcej, politycznych swych przyjaciół. Krytyka ta, aczkolwiek sprawiedliwa, ubodła go, gdyż dotąd był tylko podziwianym, mianowicie przez swych przyjaciół. Opuścił więc Wiedeń i wrócił do kraju, do swego ulubionego zajęcia, w którym się nie lękał krytyki, a to z tej prostej przyczyny, że w dziedzinę ulubionego jego zajęcia nikt nie wkraczał.

Każdy człowiek, choćby był nie wiem jak wielkim, potrzebuje wytchnienia po pracy umysłowej. Otóż i Jegomość, o którym mowa, bawiąc w delegacji, szukał wytchnienia po pracy i znajdował je w Taroku, którego zwykł był grywać z Dr. Zyblikiewiczem, burmistrzem Petrino i jeszcze jakimś posłem bukowskińskim. Po wyjeździe jego z Wiednia upadła partyjka tarokowa, a że nasz polityk był bardzo przyjemnym graczem, to jest przegrywał zwykle, zateśnił za nim Dr. Zyblikiewicz. Jak wiadomo, Dr. Zyblikiewicz ma zawsze jakiś koncept na zawołanie: telegrafuje więc do naszego polityka, że koło polskie nie może sobie dać rady bez niego, i wzywa go w imieniu koła, by przybywał do Wiednia. Nasz polityk otrzymawszy ten telegram, siada na kolej i przybywszy do Wiednia, rusza na posiedzenie koła i pyta: co to za sprawa spowodowała koło do oderwania go od pilnych zajęć, jakie miał w domu? Na-

stąpiło ogólne zdziwienie; jeden spoglądał na drugiego, aż nareszcie Dr. Zyblikiewicz wyjaśnił rzecz, wołając: Ależ mój kochany, to ja do Ciebie telegrafowałem, bo nie mam z kim grać w taroka. — Mimo tego kategorycznego oświadczenia, nasz polityk nie uwierzył, że Dr. Zyblikiewicz zażartował z niego; przeciwnie pozostał przy tem mniemaniu, że go koło wezwało, i to tak dalece, że po dwóch latach (jak to świadczy sprawozdanie o zgromadzeniu wyborców lwowskich u pana S. .) utrzymywał na serjo, że go koło zawezwało przy końcu roku 1867 do Wiednia, by wpływem swym zapobiegł nieszczęściu grożącemu ztąd, że Ziemiałkowski namawiał delegację do głosowania za konstytucją, nazwaną grudniową. Wprawdzie Ziemiałkowski obecny na owem zgromadzeniu zaprzeczył, jakoby kogokolwiek namawiał do głosowania za ową konstytucją, i przypomniał fakt, że to właśnie on postawił w kole wniosek, by delegacja głosowała przeciw tej konstytucji, a nawet pp. Pfeiffer, Sawczyński i Zyblikiewicz, którzy na owem zgromadzeniu odgrywali rolę publicznych oskarżycieli Ziemiałkowskiego, przyznali, iż nie mają żadnego dowodu na to, że Ziemiałkowski chciał głosować za konstytucją, lub wcale, że kogokolwiek z delegatów do takiego głosowania namawiał. Lecz to wszystko nie pomogło; nasz polityk dotąd wierzy, że go wówczas koło zawezwało do Wiednia dla ratowania sprawy, i że to on zdziałał, iż delegacja galicyjska głosowała w grudniu 1867 przeciw konstytucji.

Temu samemu Jegomości ktoś w roku 1861 powiedział także żartem, że on jakby stworzony na kanclerza Galicji: i odtąd myśl kanclerstwa galicyjskiego już go nie odstępowała i stała się gwiazdą polarną, podług której kieruje łódź swą polityczną.

Delegacja galicyjska nie mogąc ani w komisji adresowej, ani w Izbie podczas dyskusji nad adresem, który po zagajeniu Rady państwa w r. 1867 w Izbie wygotowywano, przeprowadzić swych poprawek, postanowiła głosować przeciw adresowi. Owczesnemu rządowi, a szczególnie p. Beustowi, zależało bardzo na tem, by adres przyjęto w Izbie jednomyślnie; chcą więc nakłonić galicyjską delegację do głosowania za adresem, zaczął z nią traktować o pewne ustępstwa dla Galicji. Delegacja już poprzednio przez wybraną do tego komisję przedłożyła była panu Beustowi desideria kraju; że między niemi znajdowało się także kanclerstwo, to się przez się rozumie, skoro w delegacji

był nasz polityk. Na nieszczęście właśnie o tem żądaniu pan Beust nie chciał nawet słyszeć i zapędził przez to naszego polityka, męża dotąd bardzo umiarkowanego, do obozu skrajnej opozycji. Jakoż usunął się z Izby podczas głosowania nad adresem, chociaż koło po rozprawieniu się z panem Beustem postanowiło głosować za adresem; potem sprzeciwiał się jechaniu Polaków na koronację węgierską, i odjechał do kraju „zniechęcony“, a gdy zasankcjonowano konstytucję grudniową, w której o kanclerstwie galicyjskiem nie ma mowy, potępił ją w czambuł i zaczął agitować, by delegacja, skoro wróci do kraju, złożyła mandaty. Pytany, dla czego by to miała uczynić? nie dawał bliższych objaśnień; odpowiadał tylko: Nie bójcie się, będziecie na nowo wybrani. Dla delegatów dzierżących mandaty nie dla mandatów, lecz w celu służenia krajowi, odpowiedź taka nie była wystarczającą; to też większość delegatów galicyjskich została głuchą na namowy naszego in spe kanclerza. Tylko panowie Adam Potocki, Gross, Tarnowski, Wodziccy i Zyblikiewicz dali się przekonać; oni też, gdy się zebrał Sejm w roku 1868 poruszyli zaraz na pierwszym posiedzeniu koła poselskiego sprawę składania mandatów do Rady państwa; lecz przekonawszy się, że koło nie podziela ich zdania, nie żądali nawet uchwały w tym przedmiocie. Chcąc wszakże pozostać konsekwentnymi, poskładali jedni ostentacyjnie, drudzy cichaczem swe mandaty do Rady państwa, z wyjątkiem hr. Adama Potockiego i Dra. Zyblikiewicza, którzy podobno przeczuli z usposobienia Sejmu, iż składających mandaty zechce uważać za niechających należeć do delegacji i nie wybierze na nowo, w czym ich przeczucie nie omyliło; Sejm bowiem żadnego z tych panów, którzy złożyli mandaty do Rady państwa, nie wybrał na powrót. Że nasz kanclerz in spe bardzo się o to starał, by go wybrano na nowo, opowiadano sobie wówczas po całym Lwowie; widocznie więc namawiał do składania mandatów li dla tego, by przez ponowny wybór otrzymać poniekąd wotum zaufania i potwierdzenie swej polityki.

Dziwnym trafem myśl naszego polityka składania mandatów znalazła oddźwięk tam, gdzie się tego najmniej mógł spodziewać, i to w kierunku, o którym nasz polityk nawet nie myślał. Oto na pierwszym posiedzeniu sejmowem, zaraz po przemówieniu namiestnika, powstał poseł Smolka i uczynił wniosek, by Sejm odwołał mandaty dane delegatom 2. marca 1867 i nie

wybierał już więcej delegacji. Do wniosku tego uczynił, jak wiadomo, Dr. Zyblikiewicz poprawkę, by Sejm wybrał komisję do zbadania konstytucji grudniowej i przedłożenia Sejmowi odpowiednich wniosków. W skład komisji tej nie wszedł żaden z delegatów, którzy byli za składaniem mandatów, prócz Dra. Zyblikiewicza jako wnioskodawcy. Nasz polityk tedy nie mogąc być osobiście czynnym w tej komisji, urządził u siebie schadzki, na które uczęszczali także członkowie komisji, Dr. Zyblikiewicz i Dr. Czerkawski; ci dwaj też wnosili do komisji i bronili w niej uchwał na owych schadzkach powziętych, i tym sposobem nasz polityk wpływał na postanowienia komisji, chociaż w niej nie zasiadał. Że o kanclerstwie nie zapomniał, to się przez się rozumie, i był nawet tak szczęśliwym, iż kanclerstwo galicyjskie przy pomocy włościanina Wolnego, którego umizgami ujął Dr. Zyblikiewicz, i Dra. Grocholskiego, który „nie należąc do żadnego stronnictwa“, lgnął duszą i sercem do stronników naszego polityka — utrzymało się w komisji przeciw wnioskowi posła Chrzanowskiego, który domagał się dla Galicji rządu krajowego sejmowi odpowiedzialnego. Punkt ósmy rezolucji brzmiał bowiem wedle wniosku komisji: Dla spraw administracyjnych, sprawiedliwości, wyznań i oświaty, bezpieczeństwa publicznego i kultury krajowej, otrzyma królestwo Galicji swój odrębny zarząd pod naczelnictwem kanclerza, czyli oddzielnego ministra dla powyższych spraw tego królestwa, odpowiedzialny Sejmowi za wykonanie ustaw krajowych.

Lecz nie długo trwała radość naszego kanclerza in spe! Albowiem podczas dyskusji nad tym punktem wniósł hr. Adam Potocki w Sejmie poprawkę w duchu Chrzanowskiego, a Sejm przyjął ją bez dyskusji, nie przeczuwając, jaką przez to sprawi boleść ojcu kanclerstwa galicyjskiego.

SPRAWA SKŁADANIA MANDATOW DO RADY PAŃSTWA.

Kanclerstwo galicyjskie upadło w rezolucji; naturalna więc, że pan Katastrowicz nie mógł być zadowolonym z rezolucji. Na domiar nieszczęścia Sejm nie wybrał go do delegacji; rzecz znów naturalna, że delegacja nie powinna była jechać do Wiednia, a skoro pojechała, powinna była natychmiast opuścić Radę państwa. Tak argumentował p. Katastrowicz, a że pan Katastrowicz zwykł przeprowadzać swe myśli z całą jemu właściwą energją, więc wziął w żółd pewną Gazetę, zostającą bez subwencji po usunięciu hr. Gołuchowskiego z namiestnictwa, i zaczął się taniec przeciw delegacji. Gazeta owa nie przywykła przebierać w środkach, zaczęła na podstawie donosów najfałszywszych, dostarczanych jej przez dwóch przyjaciół bawiących w delegacji, ohydzić ją insynuacjami bezwstydnymi, posuwającemi się aż do posądzania delegatów o sprzedajność; poczem zażądała opuszczenia Rady państwa, lub przynajmniej złożenia mandatów.

Tę samą śpiewkę zaczęły wnet śpiewać i inne dzienniki, bo w Galicji i Lodomerji z Wielkiem księstwem Krakowskiem nie nadaje dziennikowi większej wziętości jak skandał. „Dziennik Lwowski“, broniący politykę Smolki, musiał już z zasady być przeciw zasiadaniu delegacji w Radzie państwa. „Kraj“, organ księcia Adama, już dla samej opozycji musiał być przeciwnym delegacji, a „Przegląd polski“, jako organ tych panów, którzy idąc za namową pana Katastrowicza, poskładali mandaty do Rady państwa i — nie zostali na nowo wybrani, już dla tego samego nie mógł być innego zdania, jak organ pana Katastrowicza. Tym sposobem składanie mandatów

do Rady państwa stało się na wiosnę 1869 hasłem całego niemal dziennikarstwa krajowego.

Nareszcie sprawa ta z dziennikarstwa przeniosła się do delegacji: tak zwana mniejszość przez Dra. Zyplikiewicza postawiła w kole formalny wniosek opuszczenia Rady państwa; przy pierwszej zaś nad tym wnioskiem dyskusji zmodyfikował go wnioskodawca tak, iż się zdawało, że mu idzie właściwie o złożenie mandatów. Czego zresztą w istocie chciał Dr. Zyplikiewicz, nie dowiedziała się delegacja, bo interpelowany przez hr. Golejewskiego wnioskodawca, „wymigiwał się“ zwykłą w podobnych razach odpowiedzią: wolno Ci rozumieć jak chcesz, a jeśli to, co mówię, nie jest Ci jasnym, to bardzo żałuję. — Z tego „wymigiwania się“ szanownego wnioskodawcy, również ze sposobu, w jaki potem przez pięć czy sześć tygodni prowadzono całą tę sprawę, mógłby jaki złośliwiec sądzić, że tu szło raczej o demonstrację, niż o opuszczenie Rady państwa: bo jakżeż wytłumaczyć sobie, że przewodniczący spychał tę sprawę przez całe tygodnie z porządku dziennego obrad koła; lub tę okoliczność, że gdy hr. Golejewski podniósł pierwotny wniosek Dra. Zyplikiewicza, ci panowie, co tak gorąco przemawiali w kole za opuszczeniem Rady państwa, pozwalali na odroczenie głosowania nad tym wnioskiem, chociaż termin zamknięcia Rady państwa szybkim zbliżał się krokiem? Nareszcie że dopiero, gdy wystąpienie z Rady państwa stało się niemożliwym, bo byłoby śmiesznem — co sam prezes koła przyznał — t. j. dwa dni przed zapowiedzianem zamknięciem Rady państwa, przystąpiono do głosowania nad tą sprawą?

Najpierw odbyło się głosowanie nad pierwotnym wnioskiem Dra. Zyplikiewicza, który podniesionym został przez hr. Golejewskiego, t. j. że delegacja opuści Radę państwa; a gdy wniosek ten, za którym głosowało tylko dziewięciu delegatów, upadł z tej prostej przyczyny, że Rada państwa i tak miała być za dwa dni zamkniętą, przystąpiono do głosowania nad modyfikacją tego wniosku przez pana Zyplikiewicza uczynioną, t. j. że delegaci złożą in corpore mandaty w Radzie państwa wraz z deklaracją motywującą ten krok; a gdy to równało się opuszczeniu Rady państwa, przeto delegacja postępując konsekwentnie, odrzuciła i ten wniosek. Głosowało za nim dziesięciu: do tych, którzy byli za opuszczeniem Rady państwa, przybyli panowie Grocholski i Horodyski, zaś pan Hubicki, który głosował

za opuszczeniem Rady państwa, był przeciwny złożeniu mandatu! Widać, że szanowny ten delegat wyżej cenił swój mandat niż Radę państwa.

Nie wielka więc, jak się okazuje, była liczba zwolenników tej demonstracji; a i ta garstka nie jednakowemi — jak mówiono — kierowała się pobudkami. I tak mówiono, że niektórzy chcieli poprzeć ministra rodaka, który w Radzie ministrów zapowiedział wystąpienie delegacji z Rady państwa; że inni robili to przez solidarność z partją krakowską, do której należeli; a nareszcie że byli i tacy, co chcieli się tym sposobem rehabilitować w oczach dziennikarstwa. Wiadomo bowiem, że Narodówka w swych wycieczkach przeciw delegacji posuwała się do twierdzenia, że delegaci dla tego nie chcą opuścić Radę państwa, ponieważ czekają na koncesje kolejowe, i t. d., co tak obalamuściło publiczność, że Smolka mógł zyskać oklaski za to, iż na publicznem zgromadzeniu rzucił delegacji w twarz te słowa: „Niemcy drwili sobie z Polaków, mówiąc: Jesteśmy pewni, że nie wystąpią z Rady państwa dopóki są jeszcze koleje i koncesyjki do nadania.“ Ubiegano się wówczas rzeczywiście o koncesje na koleje jak: Łupkowską, Tarnowską, Stryjską, Husiatyńską, nie mniej na banki jak: krakowski, krajowy, agrarny, centralny — i znajdowali się w delegacji tacy, którzy w tej lub w owej kolei, w tym lub owym banku byli interesowani. Lecz jeśli było więcej niż niesumiennością ze strony Gazety Narodowej rzucać z tego powodu na delegację podejrzenie, o jakim wspomniałem, to ze strony delegatów w tych koncesjach interesowanych byłoby co najmniej tchórzostwem, głosiwać li dla tego za wyżej nadmienionymi wnioskami, aby ich nie posądzono, że z powodu owych koncesji chcą zostać w Radzie państwa. Tego więc powodu u żadnego z owych panów przypuścić nie mogę. Nie mogę też przypuścić, że głosując tak, ulegli po prostu nawoływaniu Gazety Narodowej, bo i to nie byłoby dowodem odwagi cywilnej; zresztą gdy w kole postawiono wniosek, by odeprzeć niecne insynuacje Gazety Narodowej, panowie ci, tak jak reszta delegatów, uważali za niegodne delegacji wdawać się w jakąkolwiek z tego powodu polemikę z Gazetą Narodową, a pan Sawczyński rzekł przy tej sposobności bardzo słusznie, że jedyną odpowiedzią ze strony delegacji powinna być pogarda. Również niepodobna przypuścić, że ci panowie byli za opuszczeniem Rady państwa, a względnie za

złożeniem mandatów tylko dla tego, że podczas ubiegłego Sejmu byli zdania, że delegaci powinni poskładać mandaty; bo mogli to zdanie znów podczas Sejmu podnieść i starać się go przeprowadzić; zresztą znajdowali się między nimi i tacy, którzy podczas ubiegłego Sejmu byli zdania, że delegaci nie mają potrzeby składać mandatów, jak, n. p. Grocholski, Horodyski, Jabłonowski, i t. d.

Zdaje mi się przeto, że najprawdziwszem jest zdanie, iż na głosowanie tych panów wpłynęła konferencja, która się na wiosnę 1869 r. odbyła u ówczesnego ministra rolnictwa.

Konferencja ta była długi czas tajemnicą, nawet dla większej części delegatów; później słówko po słówku wygadali się wtajemniczeni, i cała ta rzecz od dawna już przestała być tajemnicą — dla tego sędzę, że ten, który się przedemną wygadał, nie zarzuci mi niedyskrecji, jeśli konferencję ową opiszę.

Przez gadulstwo pana Giskry dowiedziała się delegacja, że minister rodak głosował na radzie ministrów za zdaniem, iż rząd nie jest obowiązany wnosić rezolucję galicyjską do Rady Państwa, ponieważ nie ma przepisu, któryby do tego rząd zobowiązywał, a powtóre, ponieważ rząd z żądaniami w rezolucji zawartemi nie zgadza się. Przez niedyskrecję tegoż samego pana Giskry dowiedziała się delegacja, że wszystkie rozporządzenia odnoszące się do Galicji, na które delegacja się żaliła, uchwalane były w Radzie ministrów jednomyślnie, a więc za zgodą naszego ministra rodaka. Inny znowu minister dał delegatom do zrozumienia, że minister rodak mógłby przyczynić się do pomyślnego rozwiązania sprawy rezolucyjnej, gdyby tylko sprawę tę chciał popierać w Radzie ministrów.

Odkrycia te wywołały między delegatami nieukontentowanie, a uwagi w skutek tego o ministrze rodaku czynione zaczęły się z grona delegatów rozchodzić w coraz szersze koła. Dzienniki krajowe nie podnosiły tego wprawdzie, ale zawsze trzeba się było czemś rehabilitować w obec delegacji, a ewentualnie w obec kraju. Zaprosił tedy hr. Potocki kilku delegatów do siebie na poufną konferencję, na której był także bawiący wówczas w Wiedniu Książę marszałek, i oświadczył zgromadzonym, iż w obec niemożliwości załatwienia rezolucji podczas tych kilku tygodni, które Rada państwa jeszcze trwać ma, zamierza żądać w Radzie ministrów, aby dla uspokojenia kraju uczyniono dlań na teraz, tytułem zadatku, przynajmniej to, co w drodze admi-

ministracyjnej, bez współdziałania Rady państwa zrobić się da. Poczem odczytał te punkta, które według jego mniemania wypadaloby żądać, a mianowicie: zaprowadzenie języka polskiego w sądach i urzędach; spolszczenie uniwersytetu lwowskiego; rozszerzenie władzy namiestnictwa przez zniesienie drogi rekur-sów ministerjalnych tam, gdzie one nie są przepisane ustawą; zaprowadzenie w kraju senatu najwyższego trybunału sprawiedliwości i zamianowanie ministra dla Galicji. Po krótkiej dyskusji nad niektórymi z tych punktów, gdy zaproszeni na konferencję delegaci objawili swe zdanie, iż spodziewają się, że kraj uzyskawszy taki zadatek, czekałby cierpliwie na ostateczne załatwienie rezolucji, oświadczył hr. Potocki, że przedłożywszy te punkta Radzie ministrów, będzie żądał stanowczej odpowiedzi w 48. godzinach i zagroził wystąpieniem delegacji z Rady państwa na wypadek, gdyby rząd wymienionych właśnie żądań spełnić nie chciał. W trzy czy cztery dni potem uwiadomił hrabia Potocki tych panów, którzy byli na owej konferencji, iż rząd na wniosek jego nie przystał. Teraz trzeba było nakłonić delegację do opuszczenia Rady państwa, albo przyznać się, że się nie ma dosyć wpływu na delegację, by uzyskać ex post jej przyzwolenie na to, co się bez jej upoważnienia zapowiedziało w jej imieniu.

Zważywszy tedy, że delegaci, którzy wprowadzili na koło sprawę opuszczenia Rady państwa, byli na owej konferencji, i jeśli nie z hr. Alfredem, to z hr. Adamem w ścisłych zostają stosunkach — zdaje mi się, że w braku innych decydujących powodów wolno zrobić przypuszczenie, iż sprawa owa poruszona była w kole tym celem, aby oszczędzić hr. Alfredowi Potockiemu niemiłej sytuacji, w jakiej by się znalazł, gdyby mimo zagrożenia jego, że delegacja opuści Radę państwa, delegacja tego nie uczyniła. Gdy się zaś okazało, że opuszczenie Rady państwa przez polską delegację mogłoby być wziętem bardzo za złe u góry, zmieniono pierwotny wniosek opuszczenia Rady państwa na jakieś bałamutne składanie mandatów, i prowadzono rzecz tak, że delegacja nie wystąpiła z Rady państwa, a autorom wniosku została aureola.

Powiedziałem wyżej, że chęć rehabilitowania się w opinii spowodowała ministra rodaka do owej konferencji i do postawienia w Radzie ministrów wniosku, o którym wspomniałem. Ponieważ zaś inna także o tem kursowała wersja, przytoczę ją

także, nie chcąc poprzestać na mojem subiektywnem zdaniu. Oto właśnie w owym czasie, gdy owa konferencja odbywała się u hr. Potockiego, inny minister, który aczkolwiek nie rodak, bronił sam jeden w Radzie ministrów naszej rezolucji, postanowił był za przybyciem cesarza do Wiednia sprawę tę podnieść i żądać także zadatku na rezolucję w drodze administracyjnej uskutecznić się mogącego. O tym zamiarze miał się dowiedzieć hr. Potocki i postanowił ubiedz ministra Niemca, aby kraj nie powiedział, że on dba więcej o obcy interes, niż o swój.

Przytoczyłem tę wersję dla tego, że istniała; a nie dla tego, bym w nią wierzył. Co do mnie, jestem zdania, że pan Potocki nie potrzebował aż tak silnego bodźca, i powodował się prawdopodobnie li chęcią rehabilitowania się w opinji. Że miał się krok jego nie powiódł, nie jego wina; również jak nie jest winą ówczesnej delegacji, że ją nie nakłoniono do urzeczywistnienia tego, czem pan minister zagroził w Radzie ministrów! Koło polskie w skutek nieustannych nagabywań dziennikarstwa było tak zniechęcone, że podczas pierwszej dyskusji nad wnioskiem opuszczenia Rady państwa, nie odezwał się ani jeden głos przeciw niemu; dyskutowano tylko, czy ma być przed tem uskuteczniiony wybór do wspólnych delegacji. Gdyby wtedy wniosek opuszczenia Rady państwa podany był pod głosowanie, więcej niż prawdopodobnem jest, iż byłby przyjętym jednogłośnie. Tymczasem zaczęto się „wymigiwać“, puszczać rzecz na dyłatę, zostawiać czas księżom i włościanom naradzenia się z swoimi wyborcami, którzy im oczywiście zabronili opuszczać Rady państwa — aż nareszcie nadszedł czas zamknięcia Rady państwa, i delegacja opuścić jej już nawet nie mogła bez narażenia się na śmieszność. Wtedy dopiero przystąpiono do głosowania. Rezultat nie mógł już być wówczas wątpliwym. W dwa dni potem zamknięto Radę państwa, a delegaci pojechali do domu w usposobieniu, które nie rokowało nic dobrego.

KLUB REZOLUCJONISTÓW.

Rozprawy nad kwestją opuszczenia Rady państwa prowadzone w kole delegacji bezowocnie przez kilka tygodni, stawały się coraz namiętniejszemi w miarę jak kwestja sama przy zbliżającym się zamknięciu Rady państwa traciła na doniosłości; leży to bowiem w naturze ludzkiej, że w miarę jak sprawa staje się słabszą, wzrasta zapalczywość jej obrońców.

Skutkiem tego rozjechali się delegaci nasi po zamknięciu Rady państwa z wzajemnym do siebie żalem; niektórzy zaś z wyraźną groźbą pomszczenia się na większości delegacyjnej za to, że nie dopuściła, by stało się, czego żądała mniejszość. Zaraz też po powrocie do kraju, idąc za „opinią publiczną“, t. j. za Gazetą Narodową, poskładali mandaty do Rady państwa panowie: Fihauser, Grocholski, Horodyski, Jabłonowski, Pfeiffer, Potocki, Rogawski, Szujski, Wyrobek, Zyblikiewicz; poczem wymyślania Gazety Narodowej na „Mameluków“, t. j. na tych delegatów, którzy nie złożyli mandatów, stały się rubryką stałą. Już to Bogiem a prawdą, Mamelukami byli właściwie ci delegaci, którzy poskładali mandaty, aby choć w części złagodzić fiasko, jakie zrobił minister rodak, zapowiadając w Radzie ministrów bez upoważnienia delegacji, iż opuści Radę państwa. Lecz u nas publiczność nie zwykła się głębiej zastanawiać nad tem, co jest wydrukowanem, choćby to było w Narodówce; ponieważ więc Gazeta ta przezywała większość delegacyjną Mamelukami, powtarzano to w kraju jak za panią matką pacierz.

Gdy to się dzieje, dwa młodzi prawnicy lwowscy spostrzegłszy, że u nas „brak ludzi“, i powiedziawszy sobie, że mogliby odegrać w kraju niepospolitą rolę, skoro im nie brak pewności siebie i sporego zasobu cytat rymowanych i nierymowanych, postanowili stworzyć w kraju „stronnictwo“ i na bar-

kach tego stronnictwa dostać się do Sejmu, a ztamtąd — ha! Bóg wielki!

Nim jednak przystąpili do dzieła, jako przezorni politycy zasięgnęli rady u starszego wiekiem, a biegłego w tych rzeczach kolegi w Krakowie, który nie mogąc jakoś stać się sławnym w delegacji, chociaż się sam nazywał jej nestorem, potrafił przecież stać się sławnym w Krakowie za pomocą ofiarowanego mu przez „wdzięcznych“ współobywateli popiersia, które — sam sobie zamówił.

Za radą i przyczynieniem się tego kolegi z Krakowa, połączyli się ci dwaj lwowscy prawnicy z bawiącymi we Lwowie eksdelegatami z tak zwanej mniejszości, jako to: Grossem, Pfeiffrem, Hubickim i Sawczyńskim, i dobrawszy do tego grona dla większej powagi, panów Krzczunowicza i Badeniego, a dla demokratycznej okrasy kilku z „poczeiwych“ obywateli miejskich, utworzyli przy pomocy Narodówki, zostającej wówczas na usługach pana Krzczunowicza, zawiązek stowarzyszenia politycznego, któremu zamysłano dać nazwę „klubu Rezolucjonistów“, by doń zwabić jak najwięcej „dobrodusznych“.

Dr. Zyblikiewicz nie przyznawał się do Gründerostwa tego klubu; czy sądził, że jawne należenie do galicyjskiego towarzystwa ubliżyłoby jego podwawelskiej narodowości? czy miał inne powody pozostania incognito? Nie wiem. Natomiast z otwartą przyłbicą stanął w obozie Rezolucjonistów książę Adam ze swoją przyboczną chorągwią Starkel e tutti quanti. Książę Adam ręka w rękę z Dobrzańskim: w roku pańskim 1869 działy się w Galicji rzeczy, o których przedtem nie śniło się nawet naszym podwawelskim filozofom.

Jak mniejszość delegacyjna i jej organ Narodówka, tak samo, chociaż z innych powodów, gardłowało za wystąpieniem z Rady państwa Towarzystwo narodowo-demokratyczne, którego organ „Dziennik Lwowski“ w szkalowaniu większości delegacyjnej prześcigał czasem nawet Narodówkę. Nic więc dziwnego, że wspólny cel, t. j. zdepopularyzowanie większości delegacyjnej i zmuszenie jej członków do złożenia mandatów, połączył Gründerów klubu Rezolucjonistów z przewodzcami Tromtadracji lwowskiej. Zachodziła między nimi wprawdzie różnica co do ostatecznego celu, bo kiedy Tromtadraci dążyli (wówczas przynajmniej) do tego, aby kraj wcale nie był reprezentowany w Radzie państwa, Gründerom klubu Rezolucjonistów szło tylko

o to, aby oni z przyjaciółmi swoimi dostali się do delegacji; lecz i jedni i drudzy w pierwszej linii musieli dążyć do tego, by członków większości delegacyjnej doprowadzić do złożenia mandatów. Sojusz więc księcia Adama, Badeniego, Grossa i Krzczunowicza z jednej, a Smolki, Jasińskiego, Gromana i Piątkowskiego z drugiej strony, aczkolwiek na pierwszy rzut oka niemożliwy, był rzeczą całkiem naturalną.

Jako przewodzcę większości delegacyjnej uważano ogólnie Ziemiałkowskiego; przeciw niemu więc postanowiono najsamprzód wystąpić. Towarzystwo demokratyczne chciało w tym celu urządzić zgromadzenie ludowe, na którym miano uchwalić votum nieufności dla większości delegacyjnej w ogóle, a w szczególności dla Ziemiałkowskiego jako posła miasta Lwowa. Ponieważ zaś dawniejsze zgromadzenie ludowe, urządzone za staraniem Towarzystwa demokratycznego, jako zgromadzenie czeladzi i pauprów, jakoś nikomu nie zaimponowały; przeto Rezolucjoniści, praktyczniejsi od Tromtadratów, wnosząc, że uchwał takiego zgromadzenia ludowego poseł lwowski gotów nie usłuchać, zaproponowali zgromadzenie wyborców miasta Lwowa, na które dla uniknienia pozoru tendencyjności, mieli być zaproszeni wszyscy czterej posłowie miasta Lwowa celem „porozumienia się z wyborcami“.

ZGROMADZENIE WYBORCÓW WE LWOWIE

27. CZERWCA 1869.

Autorami zgromadzenia tego byli, jak powiedziałem, Gründery klubu Rezolucjonistów, i wzięli się, przynajmniej trzeba, bardzo sprytnie do rzeczy. Aby posłom miasta Lwowa, a właściwie Ziemiałkowskiemu, o którego tu jedynie chodziło, odjąć wszelką obawę, złożono komitet mający trudnić się zwołaniem zgromadzenia, przeważnie z mieszczan poważnych i z poważniejszej inteligencji. Jako przewodniczący komitetu figurował „pocziwy pan Kasper“ — adwokaci Rayski, Madejski, Białoskórski, Wolski byli członkami komitetu. Któżby nie ufał podpisom takich obywateli, umieszczonym na plakatach zapraszających posłów lwowskich na „zgromadzenie wyborców“ odbyć się mające o godzinie 4. z południa w ratuszu dnia 27. czerwca 1869! Równocześnie z rozlepieniem tych plakatów we Lwowie, głosił Dr. Zyplikiewicz po Krakowie, iż zamierza zwołać szanownych swych wyborców, a monitor księcia Adama, „Kraj“, donosząc o tem, podnosił wysokie poczucie obywatelskie posła krakowskiego, rzucając cień na posłów lwowskich, których muszą dopiero wybory powoływać przed swój trybunał. Narodówka poszła o krok dalej, jak to jej zwyczajem. Ponieważ Ziemiałkowski bawił od paru tygodni na wsi dla wypoczynku, więc Narodówka głosiła, że Ziemiałkowski nie śmie się nawet pokazać we Lwowie. Wszystko to było wyrachowaniem, by Ziemiałkowego zwabić na zgromadzenie wyborców, a redakcja Narodówki bardzo dobrze wiedziała, że Ziemiałkowski nim wyjechał na wieś, bawił po powrocie z Wiednia dłuższy czas we Lwowie, a więc nie bał się pokazać swym wyborcom. I udała się kabała.

Ziemiałkowski ufnął w słuszność sprawy, którą bronił w delegacji, a może i dla tego, by pokazać że się nie boi, przybył do Lwowa i wprost udał się na posiedzenie komitetu, by oświadczyć swą gotowość stawiania się przed wyborcami; przy czem wyraźnie się zastrzegł, iż tylko wyborcom odpowiadać będzie; na co przewodniczący Boczkowski uroczyście go zapewnił, że komitet przedsięwzięmie stosowne środki, by na zgromadzenie tylko wyborcy wpuszczeni byli.

Następnego dnia otrzymali posłowie miasta Lwowa pisemne zaproszenie na „zgromadzenie wyborców miasta Lwowa“, podpisane przez „członków komitetu wyborców“: Kaspra Boczkowskiego, Feliksa Piątkowskiego, Hilarego Szwedzickiego, Karola Widmana i Dra. Ludwika Wolskiego. Poczem zaczęto robić przygotowania do zgromadzenia wyborców. Dziwiło to niektórych, że przygotowania robią się nie w sali ratuszowej, lecz w dziedzińcu ratuszowym; że przygotowaniami temi trudnią się wyłącznie członkowie Towarzystwa demokratycznego; podziwiano przytem niez mordowanie p. Krzeczunowicza, który przez parę dni, poprzedzających zgromadzenie, był ciągle na nogach i wszystkim, których tylko spotkał, dowodził że Ziemiałkowski jest niemożliwym w Radzie państwa; zauważano także jako rzecz szczególną, że Dr. Zyblikiewicz pojawił się we Lwowie i bardzo pilnie uczęszczał do kasyna miejskiego, gdzie „kołtunom“ lwowskim z właściwą jemu wersją prawił niestworzone rzeczy o „Mamelukach“. Lecz o tem wszystkiem posłowie miasta Lwowa nic nie wiedzieli, lub jeśli wiedzieli, podobno za nadto ufnęli w nietykalność poselską, nie wiele się o to troszczyli. Dopiero we wilję zgromadzenia zaniepokojony trochę został Ziemiałkowski, gdy w Dzienniku Lwowskim przeczytał korespondencję z Brzeżan, donoszącą że na zebraniu wyborców z większych posiadłości obwodu Brzeżańskiego potępiono politykę większości delegacyjnej, i że poseł Bocheński, należący do tej większości, całą winę zwał na Ziemiałkowskiego. Przyjaciele Bocheńskiego, wiedząc z jaką siłą przekonania bronił ten zawsze polityki większości, dowiedziawszy się, że pan Emil Torosiewicz, który był obecny na owem zebraniu brzeżańskim, przyjechał do Lwowa, udali się do niego, by się przekonać, ile jest prawdy w owej korespondencji. Pan Torosiewicz oświadczył, że w owej korespondencji ani słowa prawdy nie ma, a wezwany by do Dziennika Lwowskiego podał sprostowanie, przyrzekł że to

uczyni, i pojawiło się to sprostowanie — na trzeci dzień po odbytem zgromadzeniu wyborców lwowskich! Korespondencja owa była widocznie albo zamówioną, albo we Lwowie ułożoną i dopiętą celu, ponieważ w dzień zgromadzenia uchodziła za prawdziwą. Nie zawadzi nadmienić tu, że p. Emil Torosiewicz już wówczas należał do zapalonych zwolenników mniejszości delegacyjnej, co mu w rok później, gdy stronnictwo Rezolucjonistów przedzierzgnęło się w stronnictwo Marszałków i owaładnęło kierunek wyborów, pomogło do krzesła poselskiego i do zaszczytu zasiadania w Radzie państwa.

Silniejsze jeszcze ostrzeżenie otrzymał Ziemiałkowski w sam dzień zgromadzenia, gdy mu rano przyniesiono z poczty adresowany do niego numer Kraju, w którym dla użytku zgromadzić się mających wyborców lwowskich stał na czele artykuł ecyeronem drukowany pod napisem: „Poseł Florjan Ziemiałkowski“, artykuł odsądzający go od czci i wiary, i kończący tem, że taki człowiek nie może być dłużej reprezentantem kraju. Numer ten Kraju w kilkaset egzemplarzach przysłano gratis do Lwowa do rozmaitych osób. Widocznie więc „Kraj“ i „Dziennik Lwowski“ działali podług ułożonego planu i dążyli do wywołania nieprzyjaznego ku Ziemiałkowskiemu usposobienia między wyborcami. Radzono też Ziemiałkowskiemu, by nie szedł na to zgromadzenie, lecz on ufał w uczciwość swych wyborców za nadto, by się tem dał odwieść od powziętego i objawionego postanowienia stawienia się przed wyborcami; widać że szanowny poseł miasta Lwowa nie znał swych wyborców, chociaż mieszka między nimi od ćwierci wieku.

Jak to wytłumaczyć, nie wiem; lecz faktem jest, że o zapowiedzianej na zgromadzenie godzinie nie było w dziedzińcu ratuszowym ani pana Boczkowskiego, który miał zagaić zgromadzenie, ani też żadnego z członków komitetu pochwalających politykę większości delegacyjnej, a było ich przecież kilku w komitecie urządzającym zgromadzenie. O pół do piątej zagaił zgromadzenie pan Piątkowski, jeden z najzapaleńszych lwowskich demokratów, i zaproponował pana Zaaka, także sławnego lwowskiego demokratę, na przewodniczącego. Pan Zaak stał już w pobliżu krzesła prezydjalnego i zajmwszy je bez ceremonji, zarpiął na sekretarzy Dra. Wolskiego i Gromauna, którzy także już stali tuż przy krzesłach sekretarskich. Tym sposobem dostało się kierownictwo obrad w ręce demokratów.

Rezolucjoniści dzwoniłi na kazanie, kazanie samo zostawili Tromtadratom. Nie zły pomysł, jeśli to się stało z planu! Demokraci utrzymywali, że oni „puścili w trąbę“ Rezolucjonistów.

W chwili zagajenia zgromadzenia było w dziedzińcu 800 do 1000 obywateli; czy wszyscy byli wyborcami, trudno wiedzieć, gdyż tą samą bramą wchodzono i na dziedziniec i na piętrowe korytarze, przeznaczone dla widzów, a kontrola nie była dość ścisła. Lecz byli to, o ile z powierzchowności sądzić można, ludzie porządni; można więc było przypuścić, że nie przyjdzie do „borby“.

Wszystko też z początku szło bardzo przyzwoicie. Przewodniczący zapytał, czy panowie posłowie nie zechcą przemówić. Po chwili milczenia zażądał głosu poseł Ziemiałkowski, i w spokojnem, poważnem przemówieniu wykazał, iż tak w Sejmie jak w Radzie państwa pozostał wiernym wyznaniu wiary politycznej wygłoszonemu na zgromadzeniu przedwyborczem w styczniu 1867 roku; że czynności delegacji w Radzie państwa, aczkolwiek nie ze wszystkim, pożądanym odniosły skutek, nie były wszakże bez owoców dla kraju; że przeto nie należy się zniechęcać, lecz trwać na obranej przez kraj drodze i walką parlamentarną zdobywać czego kraj potrzebuje; i to było powodem, że sprzeciwiał się opuszczeniu Rady państwa; sprawa rezolucji nie jest jeszcze załatwioną, a posłowi nie wolno usuwać się z pola walki parlamentarnej dla tego że jest zmundną, tak samo jak żołnierzowi nie wolno cofać się wśród bitwy dla tego że jest niebezpieczną. Nie lęka on się należeć do opozycji, dał tego dowody, gdy robić opozycję było trochę niebezpiecznijszem niż teraz — i zawsze, ile razy kraj do niego zapukał, odpowiadał: Jestem! Lecz opozycja bierna, jaką nam niektórzy doradzają, jest zgubną dla kraju, który będąc zacofanym w niejednym względzie, nie może wyczekiwać, lecz starać się powinien pracą nieustającą dopędzić inne kraje, które go wyprzedziły. Co się tyczy mandatu do Rady państwa, nie frymarczył nim ani ku własnemu wyniesieniu, ani ku wzbogaceniu się; otrzymał go od Sejmu, a jeśli Sejm objawi niezadowolenie ze sposobu, w jaki go pełnił, złoży go w ręce Sejmu.

Po przemówieniu Ziemiałkowskiego, które zgromadzona publiczność przyjęła oklaskami, zabrał głos poseł Gołuchowski, i tak samo jak poprzedni mówca wskazując na korzyści, jakie

kraj już odniósł z dotychczasowej polityki, zachęcał do wytrwania na drodze konstytucyjnej, która nam nastęrcza tyle środków do walczenia z nieprzyjaznem nam ministerstwem. Przemówienie Gołuchowskiego przyjęto także przychylnie — lecz widocznie już inna była fizjonomja zgromadzenia, jak na początku. Deszcz, który podczas mowy Gołuchowskiego zaczął padać, wypłoszył z dziedzińca mnóstwo wyborców. Miejsce ich zaczęli zajmować ludzie widocznie nie należący do grona wyborców; było to stowarzyszenie młodzieży rzemieślniczej „Gwiazda“, sprowadzone przez Romanowicza, które korzystając z zamieszania powstałego w dziedzińcu z powodu deszczu, gromadnie wtoczyło się i zmieszało z zebranymi tam obywatelami. Uważano także, że od lewej ręki przewodniczącego, gdzie sekretarz Gromann zajmował miejsce, zaczął się napelniać dziedziniec niedoroslą młodzieżą. Byli to uczniowie głównej szkoły normalnej, których profesor Benoni wpuścił bocznemi drzwiami do dolnego kurytarza ratuszowego, z którego ci „przyszli obywatele“ przez okna dostawali się na dziedziniec. Tym sposobem pierwiastkowe zgromadzenie wyborców zamieniło się na zgromadzenie ludowe, a te się też wnet jako takie zamanifestowało, gdy po Gołuchowskim wstąpił na mównicę poseł Smolka.

Huczne oklaski i nie mające końca okrzyki powitały go i powtarzały się na komendę sekretarza Gromanna, ile razy Smolka coś takiego powiedział, co według zdania Gromanna na oklaski zasługiwało; a oddać trzeba sprawiedliwość p. Smolce, że mowę swą zastósował do słuchaczy. Dość przytoczyć frazesy jak te: „delegacja poszła do Wiednia i wróciła — z podwyższonemi podatki i zwiększoną liczbą rekruta“ — „nadzieje, które nam robi Ziemiałkowski, że konstytucja grudniowa może być w Radzie państwa zmienioną, to — farbowane lisy“ — „delegacja nasza zachowaniem się swoim i obrzydliwem wysługiwaniem się Niemcom doprowadziła do tego, że nią Niemcy po prostu gardzili“ — „delegacja w najważniejszych sprawach mileżała, a jeśli przemawiała, to tylko półgębkiem, że aż wstyd brał.“ — „Uchwalając ustawę wojskową, zrobiła usługę Niemcom, którzy potem drwili sobie z Polaków, mówiąc: Jesteśmy pewni, że Polacy nie wyjdą z Rady państwa, póki są jeszcze do rozdania jakie koleje i koncesyjki.“ „I my mamy na nowo tam pójść, mamy odegrać rolę owego syna bohatera, który ojca swego wypoliczkowanego w karczmie przez jakiegoś śmiałka

zaprowadził tam na powrót, chcąc przekonać się, czy zuchwalec ów będzie miał tyle śmiałości, by uczynić to da capo, a gdy ojciec dostał jeszcze dwa policzki, rzekł doń: Chodit tatu do domu, bo tu bjud.“ „Nasze położenie jest lepsze niż Węgrów, bo Madjarów było 4 miliony wśród 8 milionów nieprzychylniej innoplemiennej narodowości, a my możemy liczyć na pomoc Czechów, Słowenów i Tyrolczyków, więc będzie 20 milionów przeciw rządowi...“ „Węgrzy, słabsi od nas, zwyciężyli, bo nie poszli do Rady państwa, więc przysłała koza do woza i zrobiła ugodę.“ —

Tak przemawiał wśród grzmotu oklasków poseł Smolka, ten sam, który będąc członkiem delegacji od 1861 do 1865 „ratował się urlopami“ (własne jego słowa), podczas gdy Schmerling zaprowadziwszy w Galicji stan oblężenia, 10,000 ziomków naszych trzymał w więzieniach; tak przemawiał Smolka, który za czasów Belcredego faktorował Gründerom banku hipotecznego przy uzyskaniu koncesji, a po ustąpieniu Belcredego u jego następców antyszambrował, instancjonując za kolejami węgiersko-galicyskiemi; ten sam Smolka, na którego kapocie znać było jeszcze świeży proch przedpokojów ministerjalnych, do których uczęszczał, wyrabiając sobie koncesyjkę na bank centralny, on, którego Niemcy w Wiedniu pokazują palcami jako bankruta majątkowego i politycznego — on nie wahał się lżyć publicznie delegację z narażeniem się, że kto z grona słuchaczy zawoła: Stój! nie tobie oskarżać innych, bo sam lada chwilę stanąć możesz jako oskarżony i to — przed innym trybunałem — nie wahał się, byle tylko zasadę niewysełania delegacji doprowadzić do zwycięstwa i w rok później — pojechać do Rady państwa.

Po Smolce wstąpił na mównicę poseł Dubs, Izraelita. Siedmdziesięcioletni ten starzec, który podobno pierwszy we Lwowie dał swym współwyznawcom przykład, że mieszkając na ziemi polskiej, trzeba się uczyć mowy polskiej; przestrzegał że niecierpliwością można popsuć nawet najlepszą sprawę. Jak Konstanty Wielki zwyciężył w imię objawionego mu cudownie znaku, tak nasze społeczeństwo niech sobie powie; In hoc signo vinces — niech stoi przy sprawiedliwych żądaniach swoich, a zwycięży, bo zwyciężyć musi. Zadość uczynienie naszym prawom narodowym jest dziejową koniecznością naszego wieku. Silniejsze one niż ich przeciwnicy; bo ideje nie umierają pod

obuchem przemocy. Niemcy muszą nam oddać to, co nam zabrali; płacą wprawdzie jak zły dłużnik ratami; lecz nie odrzucamy tego, byle dług odebrać.“

Piękne te słowa nie tylko nie znalazły echa w zgromadzonych słuchaczach, lecz zostały przez następnego mówcę, radnego miasta Armatysa sparodjowane i wysmiane. Mówca ten bredząc jarmarcznym stylem, że nam nie potrzeba wolności niemieckiej, lecz polskiej; że delegacja postępowała sobie w Wiedniu ślamazarnie, sama pojechała pociągiem pospiesznym, a rezolucja odeszła pociągiem towarowym, i gdy przyszła na miejsce, było już po jarmarku, nie było na nią kupca, więc złożono ten towar u spedytora, a delegacji powiedziano: jak na drugi rok znowu jarmark się rozpocznie, to przyjedźcie a pogadamy. Parodje te wygłaszane dla wysmiania posła Dubsa akcentem żydowskim, nie tylko nie zostały skarcone, lecz wywoływały huczne brawa i oklaski, wśród których szanowny radny miasta Lwowa zakonkludował: „Hasłem naszym powinna być cierpliwość; stawiam tedy wniosek: Zgromadzenie wyraża życzenie, by posłowie popierali wniosek Smolki.“ Dziwna loika: Hasłem powinna być cierpliwość, a posłowie powinni popierać wniosek Smolki, dążący do odwołania mandatów danych 2. marca 1867 delegatom i niewysyłania więcej do Rady państwa! Lecz zgromadzenie i tę aberację zdrowego rozsądku przyjęło oklaskami.

Po panu Armatysie przemawiali jeszcze Dr. Wolski rezolucjonista, demokraci Widman i Semilsky, nareszcie redaktor Narodówki Dobrzański.

Dr. Wolski atakował delegację głównie z tego punktu, że była za mało liberalną, i na dowód przytaczał, że głosowała w ustawie o stowarzyszeniach za słowem „staatsgefährlich“ i sprzeciwiała się zniesieniu loterji. Tym zarzutem zgromadzenie wtorowało objawami oburzenia, a Dr. Zyblikiewicz, który jak wiadomo, bez porozumienia się z kołem, wniósł to słówko „staatsgefährlich“ w Radzie państwa, oburzenie swe najgłośniej wyrażał, podczas gdy lwowscy szulery giełdowi jak najdosadniej objawiali swe niezadowolenie, że delegacja głosowała przeciw zniesieniu loterji. Dalej oskarżał Dr. Wolski delegację, że nie okazała dość energii i stanowczości w popieraniu rezolucji, że nawet głosując przeciw ustawom zgubnym dla kraju, nie czyniła tego z przekonania, lecz by się odziać płaszczykiem opo-

zycji, gdyż wiedziała, że ustawy te i bez jej przyczynienia się przyjęte będą. I po tych ciężkich zarzutach, które gdyby były udowodnione, więcej niż wystarczały do potępienia delegacji — Dr. Wolski postawił aksamitny wniosek: wyborcy wyrażają nadzieję, że posłowie lwowscy wedle możliwości wpływać będą, aby reprezentacja kraju postępowała z większą energją i stanowczością, uwzględniając zarazem ducha i dążności czasu.

Przyznać trzeba, że jeśli mowa radnego Armatysa charakteryzowała narodowego demokratę, w mowie Dra. Wolskiego przebijał się przyszły rezolucjonista. Dr. Wolski popierał swój wniosek tak, iż musiał upaść; mowa jego dążyła do czego innego, niż zapowiadał wniosek. Radny Armatys jako narodowy demokratą czystej krwi, przyznaje się z góry, że o polityce nie rozumie, a mimo to z cyniczną zarozumiałością krytykuje postępowanie delegacji. Dr. Wolski jest dyplomata, jak przystoi na Gründera klubu Rezolucjonistów, którego hasłem była: Rezolucja, a dążeniem: podkopanie rezolucji.

Panowie Widmann i Semilsky produkowali się z swojemi teorjami federacji narodów, i konkludowali, że nie należy wysłać do Rady państwa, bo wtedy przyjdzie koza do woza i zrobi federację.

Dobrzański był przeciwnym federacji, a tem samem wnioskowi niewysłania do Rady państwa; lecz z równą werwą występował przeciw tym, którzy są za wysłaniem do Rady państwa. Bałamutny jak zawsze, gmatwał się, [powtarzając od czasu do czasu, że teraz ani o wysłaniu ani o niewysłaniu do Rady państwa rozstrzygać nie można. Jednej rzeczy tylko stanowczo żądał, a to uchwalenia, że Ziemiałkowski ma złożyć mandat do Rady państwa; wtedy bowiem pójdzie cały kraj za przykładem wyborców stolicy i zmusi do złożenia mandatów tych delegatów, którzy tego jeszcze nie uczynili, i stworzy się nowa sytuacja. — W przemówieniu tem widzimy naszkicowany cały program późniejszej kampanji Rezolucjonistów i widzimy przyszłą ich taktykę, a nawet spotykamy się z argumentami i wyrazami, których potem w Sejmie używali. I tak wołał Dobrzański: „Delegaci powinni składać mandaty do Rady państwa, aby Sejmowi rozwiązać ręce.“ — „Większość delegacyjna, a właściwie osobistości, które prowadziły resztę bezwiednych delegatów, winne że kraj nie uzyskał; niech więc usuną się, aby Sejm odzyskał swobodę działania.“ — „Dziś nie można

stanowczo oświadczyć się ani za wysłaniem do Rady państwa, ani za niewysłaniem, obaczmy.“ — „Najprzód trzeba obalić ministerstwo, a więc precz z Ziemiałkowskim! On nam tu pisze programata, wyklada nam, czego kraj potrzebuje: czemu to on tam w Wiedniu nie postawił programatu, czemu Niemcom nie wykladał, czego nam trzeba.*)

Z temi myślami i frazesami spotykamy się później w mowach i argumentacjach Rezolucjonistów, a czyny ich wykazują, jaki cel właściwie mieli: oto, zmusić delegatów z większości delegacyjnej do złożenia mandatów, aby w ich miejsce wybrać siebie, i puścić „w trąbę“ rezolucję; obalić ministerstwo, aby wprowadzić tam swoich; usunąć z delegacji Ziemiałkowskiego, aby przypadkiem nie został ministrem dla Galicji; nie wyjawiać swego zdania co do wysłania delegacji, aby mieć poparcie Demokratów, a potem gdy przy ich pomocy weźmie się górę w Sejmie, móż się wybrać do delegacji bez narażenia się na zarzut niekonsekwencji. —

O pół do dziewiątej, gdy już nikt do głosu się nie zgłaszał, zamknięto dyskusję. Na dziedzińcu ratuszowym było już tyle niewyborców, iż nawet przewodniczący Zaak, który z najzimniejszą krwią przypatrywał się gimnastycznym ćwiczeniom studentów włączających przez okna, musiał skonstatować, iż obecna publiczność nie składa się z samych wyborców; a uczynił to wezwaniem, aby niewyborcy usunęli się na lewą stronę dziedzińca. Ponieważ zaś lewa strona u przewodniczącego jest prawą stroną u publiczności, więc powstało zamieszanie i tłoczenie się, podczas którego mnóstwo wyborców opuściło dziedzińiec, tak, że ich tam zaledwie stu pozostało. Podczas tego zamieszania podał przewodniczący wniosek Armatysa pod głosowanie, a gdy wyrażano wątpliwość co do rezultatu, zarządził przewodniczący przeciwne głosowanie, poczem skonstatował, że wniosek został przyjęty. Po krótkiej rozprawie między Dobrzańskim a Smolką, który był zdania, że po przyjęciu wniosku Armatysa, głosowanie nad wnioskiem Dobrzańskiego byłoby już tylko czystą komedią, namyślił się Dr. Smolka, że Dobrzański, gdy jego

*) Zapomniał szanowny redaktor Gazety Narodowej, że w Gazecie swej z dnia 3. października 1867 r. wydrukował i pochwalił „program polski“ przez Ziemiałkowskiego dla użytku Niemców w chwili rozpoczęcia dyskusji nad konstytucją napisany

wniosek usunięto, mógłby udowodnić, że głosujący nad wnioskiem Armatysa nie byli wyborcami, więc idąc za przysłowiem „ręka rękę“, pozwolił na głosowanie nad wnioskiem Dobrzańskiego, który podany pod głosowanie, również przyjęty został. Głosowanie nad wnioskiem Dra. Wolskiego uważano za niepotrzebne.

Tak się skończyło smutnej pamięci „zgromadzenie wyborców lwowskich“ z dnia 27. czerwca 1869. Mówię „smutnej pamięci“, bo smutno pomyśleć, że obywatele, którzy ukonstytuowawszy się jako komitet, zaprosili swych posłów na zgromadzenie wyborców w celu porozumienia się, nie poczuli się do obowiązku dopilnować, by zgromadzenie, które wywołali, rzeczywiście było zgromadzeniem wyborców; smutno pomyśleć, że wyborcy, którzy przybyli na zgromadzenie, dali się wyrugować czeladzi, studentom i stróżom kamienicznym; i że z tych, którzy dotrwali na miejscu, nie zdobył się ani jeden na odwagę stanąć w obronie posłów przeciw uchybiającej im gawiedzi. Smutno pomyśleć, że radny miasta stołecznego mógł się zapomnieć do tego stopnia, iż insultował starca, wykrzywiając mu się jak ulicznik, że „demokrata narodowy“ z profesji urągał się publicznie żydowi, który mówił i pisał po polsku wówczas już, gdy terazniejszy prezes Towarzystwa demokratycznego używał jeszcze prawie wyłącznie języka niemieckiego; kiedy przewodniczący zgromadzeniu innej jeszcze nie umiał mowy jak tę, której używają nad Wełtawą; kiedy Semilski pisał się jeszcze Semilsky, a nazwiska Widmann i Gromann oznaczały w kraju wszystko, tylko nie patrijotów polskich.

Lecz refleksji takich nie robili, ręczę, motorowie i urzędnicy zgromadzenia. Towarzystwo demokratyczne tryumfowało; zasada nieobсылania Rady państwa, ergo zasada federacji (jak gdyby to było jedno i to samo) przyjęta przez wyborców stolicy, wołał Dziennik Lwowski jednego dnia, a drugiego już drukował, że kraj oświadczył się za federacją. Rezolucjoniści w pierwszej chwili nie wiedzieli co począć: chcieli oni pozbyć się tylko Ziemiałkowskiego, a w dodatku otrzymali uchwałę niewysłania delegacji; to też Narodówka wiała się jak piskorz. Z początku utrzymywała, że wniosek Armatysa nie miał wiążącości, a nadto dowodziła matematycznie, że publiczność znajdująca się w dziedzińcu ratuszowym podczas głosowania, składała się przeważnie z niewyborców, z czego wyprowadzała

prosty wniosek, że uchwała powzięta nad wnioskiem Armatysa jest żadną i nie obowiązuje posłów. Zaraz potem zaś można było w tejże samej Gazecie czytać, że uchwała przez tę samą publiczność powzięta nad wnioskiem Dobrzańskiego, obowiązuje Ziemiałkowskiego do niezwłocznego złożenia mandatu. Szanowny redaktor tej Gazety wiedział bardzo dobrze, że na kilkuset głosujących w dziedzińcu ratuszowym było zaledwo stu wyborców; wiedział więc, że uchwały przez taką publiczność powzięte nie są uchwałami wyborców i nie mogą obowiązywać posłów; lecz cóż, kiedy jedna z tych uchwał tyczyła się właśnie mandatu Ziemiałkowskiego. Nienawiść ku osobie tego posła przemogła nad zasadą — jeśli mówiąc o Rezolucjonistach lub ich Monitorze, można myśleć o jakiejś zasadzie. Po kilku tedy koziółkach Narodówka uznała zgromadzenie ratuszowe za zgromadzenie wyborców miasta Lwowa.

A cóż panowie wyborcy na to? Panowie wyborcy dowiedziawszy się, co się stało w dziedzińcu ratuszowym, mocno byli oburzeni: zaczęto nawet mówić o proteście; lecz gdy panowie Demokraci oświadczyli, że wytluką okna każdemu, ktoby protest podpisał, dano spokój protestowi. Żydzi tylko, ci okrzyczani tchórze, mieli tyle cywilnej odwagi, że wystosowali do posłów Dubsza, Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego adres zaufania, w którym zaprotestowali przeciw temu, jakoby zgromadzenie w dziedzińcu ratuszowym z dnia 27. czerwca 1869 było zgromadzeniem wyborców. Adres ten podpisany przez tysiąc kilkaset wyborców wyznania mojżeszowego, brzmi: „Podpisani wyborcy miasta Lwowa nie zgadzają się z uchwałami powziętymi dnia 27. b. m. na zgromadzeniu, którego z powodu obecności przeważnej ilości nieuprawnionych, nie można nazwać zgromadzeniem wyborców, a to ani z uchwałą nieobesłania nadal Rady państwa, ani z uchwałą wzywającą delegatów do złożenia mandatów do Rady państwa. Podpisani owszem pod tym względem zgadzają się zupełnie z uchwałą wysokiego Sejmu z 2. marca roku 1867 i z postępowaniem większości delegacji sejmowej do Rady państwa, i udzielają wam, szanowni posłowie, każdemu z osobna, a w szczególności szanownemu posłowi Ziemiałkowskiemu, pod tym względem bezwarunkowe votum zaufania, wyrażając zupełne zadowolenie z waszego dotychczasowego w tej mierze postępowania. Lwów, 29. czerwca 1869.“

Uznanie to ze strony tak znacznej części wyborców powinno

było zadowolić szanownych posłów, tem bardziej, że wszystkim było wiadomo, iż na zgromadzeniu ratuszowem zaledwo stu było wyborców; więc przypuściwszy nawet, iż wszyscy owi wyborcy głosowali za powziętymi tam uchwałami, liczba pochwalających postępowanie posłów była dziesięć razy większą. Posłowie Dubs, Gołuchowski i Ziemiałkowski jednak inaczej się na to zapatrywali. Czy zniechęceni postępowaniem wyborców w dniu owego zgromadzenia, czy chcąc dać im uczuć, iż skoro nie mieli odwagi zaprotestowania przeciw uchwałom powziętym w ich imieniu przez studentów i czeladzi, uważani być muszą za współników tych uchwał — posłowie ci, poczekawszy dziesięć czy dwanaście dni na jaki taki objaw ze strony wyborców chrześcijańskich, oświadczyli, że nie mogąc sumiennie popierać w Sejmie wniosku Dra. Smolki (t. j. niewysłania delegacji), jak tego wymaga uchwała zapadła na zgromadzeniu z dnia 27. czerwca 1869, postanowili złożyć mandaty do Sejmu krajowego. Ponieważ zaś Ziemiałkowski był w Radzie państwa wybranym do wspólnych delegacji, które miały się zebrać na początku lipca, przeto poseł ten oświadczył wyborcom swoim, iż musząc spełnić ten obowiązek, złoży mandat poselski dopiero po zakończeniu sesji wspólnych delegacji. Ganiono nie z jednej strony krok ten szanownego posła lwowskiego, i ja go nie pochwalałem. Nie wolno być zbyt drażliwym, gdy się jest reprezentantem ludu, a zwłaszcza polskiego, który niestety nie grzeszy stałością przekonań. Byłem więc niekontent z tego posła, gdy się dowiedziałem, że zamyśla uledez presji kilkuset studentów i czeladników; a przecież nie mogłem się wstrzymać od głębokiego wzruszenia, gdy przeczytałem w Narodówce odezwę jego do wyborców swych. „Otrzymałem od was mandat poselski“, mówi szanowny ten poseł na wstępie, „kiedy kraj po bolesnych doświadczeniach porzuciwszy politykę jałowej opozycji, postanowił pracą i wytrwałością dobijać się lepszej przyszłości. Mimo tysięcznych przeciwności wytrwałem na tej przez kraj wybranej drodze, bo mię krzepiło przekonanie, że idąc tą drogą, pełnię waszą wolę. Na zgromadzeniu z 27 b. m. spostrzegłem z bolem serca, że powzięte niedawno przez kraj postanowienie zamierzamy złożyć tam, gdzie spoczywa tyle zbawiennych postanowień narodu, niewykonanych nie dla braku sił lub odwagi, lecz dla braku cierpliwości i wytrwałości.“

Biedny, jakże mi go żal! On brał tych ludzi na serjo, i sądził, że się zanosi na bezwzględną opozycję, która kraj znów rzuci na bezdroża; a tu o opozycji nikt nie myślał; chciano się tylko pozbyć człowieka, który zawadzał pewnym ludziom. Że tak w istocie było, najbliższe dowiodły wypadki. I tak, gdy wkrótce potem wybierano we Lwowie posłów w miejsce tych, którzy złożyli mandaty, panowie: Dobrzański, Smolka i Wolski popierali kandydaturę pana Wilda, księgarza lwowskiego, chociaż tenże w mowie kandydackiej przyznał się do tych samych zasad, które wyznawał Ziemiałkowski. Gdy następną delegację pod przewodnictwem pana Grocholskiego Niemcy rzeczywiście wyśmiewali, biorąc ją na fundusz z powodu owych dwóch namiestników, których potrzebę wydemonstrował pan Grocholski w komisji rezolucyjnej, tak tkliwi na „honor narodowy“ Demokraci lwowscy ignorowali to zupełnie; a gdy wróble na dachach świegotały, że delegacja ta idzie ślepo za rozkazami ministra rodaka, to ani Monitor Demokratów, ani Monitor Rezolucjonistów nie widział w tem mameluctwie nic zdrożnego. A później na zgromadzeniu stronnictw, gdy szło o sformułowanie żądań kraju, nie był że to Dr. Wolski, który radził, aby nie żądać za nadto wiele? A nareszcie podczas wyborów 1870 r. któż to, mimo publicznego oświadczenia, że tylko zwolenników opozycji prawnopaństwowej na posłów wybierać należy, popierał kandydaturę Dra. Fraenkla, jeśli nie pan Smolka i Demokraci, chociaż Dr. Fraenkel stanowczo się przeciw prawnopaństwowej opozycji i za wysłaniem do Rady państwa oświadczył? Co więcej, gdy Sejm miał się już zebrać, organ Towarzystwa demokratycznego zaczął przemawiać za obesłaniem Rady państwa; na zgromadzeniu zaś tego Towarzystwa, które się tuż przed samym Sejmem odbyło, pan Romanowicz motywował potrzebę wysłania delegacji tem, że Austryję wspierać należy, ponieważ jest potrzebną dla sprawy polskiej — a Dr. Wolski, który za podobny argument, użyty przez Ziemiałkowskiego, rzucił mu w twarz obelgę, iż pod płaszczykiem polskości zaprzeda je kraj Niemcom, tym razem nie czuł najmniejszego oburzenia; nawet gdy podczas Sejmu Smolka, słuchajcie! Smolka przemawiał za obesłaniem Rady państwa i przyjął mandat do niej, nikt nie widział w tem ani abdykacji, ani obrazy honoru narodowego, ani Targowicy!

Tym rycerzom zasad, tym stróżom honoru narodowego, tym obrońcom rezolucji chodziło o pozbycie się niezawisłych posłów, którzy im przeszkadzali w urzeczywistnieniu ich planów. Ziemiałkowski zawadzał równie Smolce, jak księciu Adamowi, tak samo mniejszości delegacyjnej, jak tak zwanym Rezolucjonistom; połączyli się więc, przybrali sobie za parawan kilku obywateli miejskich, rozdali role i odegrali komedję zgromadzenia wyborców, a szanowny poseł miasta Lwowa dał się złapać — niech mi wybaczysz — jak student. Czemu to Dr. Zyplikiewicz nie dał się złapać? Zapowiadał szumnie, że zwoła zgromadzenie wyborców i — nie zwołał ich. To mi ćwik!

Gdy przeczytano w Narodówce oświadczenie Ziemiałkowskiego, że złoży mandat poselski, radość była wielka w obozie koalicji. Demokracja narodowa widziała już urzeczywistnione swe teorie federalistyczne; Dr. Zyplikiewicz popijając szampana, układał w głowie mowę, którą Izbie poselskiej w Radzie państwa będzie dziękował, że go raczyła wybrać wice-prezydentem; Dr. Wolski widział się już posłem lwowskim; hr. Badeni namiestnikiem, a Krzeczunowicz kanclerzem Galicji, podczas gdy książę Adam zacierał sobie ręce, że mu się udało skrócić kark „białemu i czarnemu“, o czym od dwóch lat marzył dość głośno. Rezolucjoniści zaś przygotowawszy sobie owem zgromadzeniem pole, ogłosili statuta klubu. I wnet posypały się z całego kraju oświadczenia przystąpienia do tego klubu; bo i któżby nie chciał urzeczywistnienia rezolucji? Poczciwi ludzie z prowincji, a nawet mieszczenie lwowscy, sądząc z nazwy, że klub ten wziął sobie za zadanie popierać rezolucję, przystępowali gromadnie do tego klubu, co Narodówka nazywała „demonstracją kraju przeciw większości delegacyjnej“. Lecz już na pierwszym walnem zgromadzeniu klubu Rezolucjonistów rozczarował się niejeden z jego członków. Mówiono przez parę godzin, a mówili najznakomitsi członkowie klubu, jak Krzeczunowicz, książę Adam, Starkel, Dobrzański — lecz wszystkie mowy kręciły się koło osobistości. O rezolucji właściwej nie było mowy, tem więcej o Ziemiałkowskim. Przygotowywano już teren do walki przeciw niemu podczas wyborów, których się spodziewano zaraz po zamknięciu dyskusji wspólnych delegacji.

Nim zaś przystąpię do opisu tych wyborów, muszę pierwszej wspomnieć o nader ciekawem zdarzeniu, które bardzo ścisły ma związek z robotami Rezolucjonistów: mam tu na myśli

podanie się do dymisji księcia Leona Sapięhy z godności Marszałka krajowego. Sprawa ta nie była dotąd należycie podniesioną, bo dzienniki nasze umieją szanować godności krajowe, jeśli są ozdobione mitrą książęcą, lub przynajmniej koroną hrabioską; a przecież warto o niej wiedzieć — nie dla nauki, bo my się i z tej sprawy niczego nie nauczymy; ale dla zaspokojenia ciekawości.

PODANIE SIĘ DO DYMISSJI KSIĘCIA MARSZAŁKA.

Widzieliśmy jak na gruncie składania mandatów powstał alians między Kreczunowiczem, księciem Adamem i Zybliekiewiczem. Przez kogo z tych panów, czy przez wspólne ich działanie wciągnięty został w grę książe Marszałek, tego nie wiem, lecz to pewna że bez pomocy książe Marszałka nie udało by się było owej lidze doprowadzić kraju do takiego obałamucenia, a sejmu z r. 1869 do takiego rozbicia, jakiego byliśmy świadkami.

Ktoż nie pamięta, jak za rządów Schmerlinga, gdy nam nawet niewątpliwych funduszków krajowych oddać nie chciano, książe Marszałek upominał, byśmy brali co wziąć można, choćby to było tylko odrobineczką. Ktoż nie pamięta jak tenże książe Marszałek w r. 1863 szedł ręką w rękę z rządem przy okazji zamknięcia Sejmu, w którym obawiano się demonstracji na rzecz rozpoczynającego się powstania polskiego. Ktoż nie wie z jaką cierpliwością znosił w r. 1864 stan oblężenia, chociaż jedynak jego z marszałkowskiego pałacu powleczoney był do więzienia. I nikt tego wszystkiego za złe nie brał księciu Marszałkowi, bo wszyscy wiedzieli, że jako obywatel lubiący ład i porządek, jako mąż pracy i polityk przezorny nie może chcieć ani pozwolić, by kraj się rozgorączkowywał i zamiast iść choćby powolną lecz pewną drogą naprzód, narażał się na niepewne szanse zbyt opozycyjnej lub wcale awanturniczej polityki.

Można sobie przeto wyobrazić, jak wielkie było zdziwienie między delegatami, gdy książe Marszałek przybywszy na wiosnę 1869 do Wiednia, zaczął szerzyć zdanie, że należy opuścić Radę państwa i poskładać Mandaty, dodając półgębkiem, że on sam

zamierza złożyć godność Marszałka krajowego, ponieważ w obec polityki owczesnego Rządu sumienie mu nie pozwala piastować dalej tej godności. Pytano się, z kąd się wzięła księciu raptem ta drażliwość sumienia, które było spokojnem za daleko gorszych czasów Schmerlingowskich? Kilku naiwnych delegatów zaczęło księcia nakłaniać, by odstąpił od tego zamiaru, gdyż przez to powiększyłyby tylko zamęt w kraju. Inni ośmielili się zwrócić uwagę jego, że składając godność Marszałka z powodu, iż sumiennie nie może popierać obecnego Rządu, przyzna się tem samem że popierał Rządy Schmerlingowskie, skoro wówczas nie składał swej godności. Lecz wszystko to było daremne; książę trwał przy swem postanowieniu, a trwał tem silniej, im dobitniej go Ministrowie zapewniali, że Cesarz dymisji jego nie przyjmie. Nareszcie po zamknięciu Rady Państwa wyrobił sobie książę audjencję u Cesarza, po której rozeszły się w Wiedniu między bawiącymi tam Polakami różne wieści: Ci którzy z księciem mówili, opowiadali, że książę złożył na ręce Cesarza swą dymisję; inni znów twierdzili iż słyszeli od osób bardzo dobrze informowanych, że książę cofnął swą prośbę o dymisję. Ztąd poszło, że gdy Narodówka umieściła telegram z Wiednia donoszący iż książę Marszałek podał się do dymisji, Czas wydrukował korespondencję z Wiednia przeczącą temu.

Mimo tych sprzecznych podań, wracającego do domu księcia witała szlachta po dworcach kolei, składając mu hołd za ten „czyn patriotyczny“. Książę przyjmował hołdy, dziękował i oświadczał skromnie, iż spełnił tylko to, co mu sumienie nakazywało. Tymczasem rozprowadano sobie w Wiedniu, że na owej audjencji książę złożył wprawdzie do rąk Cesarza prośbę o dymisję, lecz gdy go Cesarz poprosił, by ją cofnął, książę pozwolił Cesarzowi rzucić ją do kosza. Znowu więc napisano z Wiednia do Czasu, że nieprawda jakoby książę Marszałek podał się do dymisji; kto bowiem pozwolił by prośbę o dymisję rzucono do kosza, o tem nie możem powiedzieć iż się podał do dymisji. Lecz w kraju na to nie zważano — jeden wydział powiatowy po drugim wotował księciu uznanie za ten „czyn patrijotyczny“, a książę odpowiadał pisanemi podziękowaniami, które Gazeta Narodowa i Kraj oddrukowywały. Prawda że adresy te wywoływał książę Adam przez swych adherentów, prawda także że agitacja ta adresowa udała się tylko w siedmiu czy ośmiu powiatach, lecz zawsze adresy te i podziękowania księcia

pojawią się przez kilka tygodni to w tym to w owym dzienniku, obalamuwały kraj a szczególnie szlachtę, która zawsze ma jeszcze słabość dla Jaśnie oświeconych. Kogo Gazeta Narodowa nie byłaby nigdy przekonała że teraz gorzej niż za czasów Szmerlinga i że jedynym środkiem aby było lepiej, jest złożenie mandatów do Rady Państwa, ten przekonany został postępowaniem księcia Marszałka. Bo jeśli już książę nie może wytrzymać, wołała szlachta, to musi być bardzo źle; jeśli książę złożył godność Marszałka, to i delegaci powinni poskładać swe mandaty: „Jeśli sumienie księcia Marszałka — argumentowali inni — które było spokojne nawet podczas stanu oblężenia, nie pozwala mu dłużej zatrzymać godności Marszałka, to tylko człowiek bez sumienia może zatrzymać mandat do Rady Państwa.

Wprawdzie między godnością Marszałka nadaną przez Rząd, a mandatem do Rady Państwa nadanym przez Sejm nie ma najmniejszej analogji, bo jeśli godność Marszałka dla tego że jest nadaną przez Rząd, obowiązuje do popierania Rządu, to mandat do Rady Państwa obowiązku takiego nie wkłada; lecz w takiej subtelności ani wydziały wotujące księciu uznanie, ani publiczność czytająca je, nie wdawały się. Nie zważano także na to, że książę właśnie tę godność, która ma analogję z mandatem do Rady Państwa, to jest godność członka Izby Panów, zatrzymał, — że więc nonsensem jest, żądając od delegatów złożenia mandatów do Rady Państwa, stawiać im za przykład księcia Marszałka, gdyż zatrzymanie godności, która księcia Marszałka czyni członkiem Rady Państwa, tak samo jak mandat sejmowy czyni delegata członkiem tejże Rady, przemawiałoby właśnie za nieskładaniem mandatów. Lecz ktoby tam sobie łamał głowę takimi rzeczami! Gazeta tak pisała, a książę Marszałek potakiwał, więc powtarzano za Gazetą jak za panią matką pacierze, że jeśli książę Marszałek złożył godność Marszałka, to delegaci powinni złożyć mandaty do Rady Państwa, — a wołanie to o składanie mandatów, odkąd powtórzone przez kilka wydziałów powiatowych, przestało być tylko hasłem bojowym Gazety narodowej i nabierało w kraju co raz większego znaczenia.

Agitacja więc udała się. Lecz jeśli z trudnością przychodzi dać temu wiarę, że książę Marszałek w siedmdziesiątym roku życia swego został agitatorzem, to nie podobna w to

uwierzyć, że cała tej agitacji podstawa była iluzją. A przecież tak jest. Osoba wiarogodna, której to sam Cesarz opowiadała, zapewniała mię, iż rzecz tak się miała: książę przedłożywszy Cesarzowi, iż sumienie nie pozwala mu popierać istniejącego Rządu, do czego jako Marszałek jest przecież obowiązany, prosił by Cesarz go uwolnił od przewodniczenia Sejmowi galicyjskiemu; a gdy Cesarz nie chciał wziąć prośby do rąk, książę położył ją na stoliku. Cesarz zaczął nalegać na księcia, by cofnął tę prośbę, by to zrobił dla niego. Wtedy książę rzekł: Najjaśniejszy Panie, bądź sędzią mego sumienia; jeśli sądzisz że mogę zostać nadal Marszałkiem krajowym, chociaż się nie zgadzam z istniejącym Rządem, to rzuć tę prośbę do kosza. Na co Cesarz odrzekł: uczynię więcej, rzucę ją w ogień — i pożegnał księcia jak najłaskawiej.

Zdaje mi się, że nikt nie zaprzeczy, iż książę Marszałek cofnął swą prośbę o dymisję, skoro pozwolił by ją Cesarz rzucił do kosza. Mimo to, wracając po owej audjencji do kraju, przyjmował książę owacje po stacjach kolejowych wyprawiane mu za to, że się podał do dymisji. Przyjmował adresy wydziałów i rad powiatowych, wotowane mu za to, że złożył godność Marszałka na Sejmie krajowym; a przyjmując te owacje i adresy czy nie lękał się książę, że broń której użył przeciw większości delegacyjnej z tej mniemanej jego dymisji, może się obrócić przeciw niemu, skoro się kraj dowie, jak się właściwie rzecz miała z owem podaniem się do dymisji? Nie; bo przeczorny książę zostawił swą prośbę na stoliku u Cesarza; mógł więc przysiąc, że prośbę poda.

WYBORY W MIEJSCE DUBSA, GOŁUCHOWSKIEGO I ZIEMIAŁKOWSKIEGO.

W miarę jak się zbliżały wybory rozpisane we Lwowie w miejsce trzech posłów, którzy mandaty swe złożyli, rozmagaly się wycieczki w Narodówce, Dzienniku Lwowskim i Kraju przeciw byłym posłom, a mianowicie przeciw Gołuchowskiemu i Ziemiałkowskiemu; w zarzutach zaś nie przebierano, trzymając się przysłowia: Calomniez toujours etc. I tak hr. Gołuchowskiemu zarzucano, że będąc Namiestnikiem wydał Moskałom parę emigrantów polskich, Ziemiałkowskiemu zaś, że jest ministerjalnym. Nie wiem czy zarzut hr. Gołuchowskiemu czyniony był słuszny; wiem tylko że szwagier p. Krzeczunowicza sprawując we Wrześniu 1870 Rządu Galicji w zastępstwie będącego na urlopie Prezydenta, wydał z kraju całkiem spokojnych emigrantów, i że te same osoby które nie posiadały się z oburzenia, mówiąc o wydaleniu emigrantów przez Gołuchowskiego, znajdowały dla p. Podlewskiego tłumaczenie w tem, że jest urzędnikiem, a więc musi pełnić rozkazy wyższe. Co się zaś tyczy Ziemiałkowskiego przeciw temu przytaczano dowody jego ministerjalizmu. Nie zawadzi wszakże przypatrzeć się bliżej tym dowodom; wyświeci to z jednej strony w jakiej wierze działali ci, którzy tych dowodów przeciw niemu używali; a z drugiej strony wykaże jak myślącą jest politykująca publiczność Galicyjska, skoro jest w stanie iść tak ślepo za pierwszym lepszym Gazeciarem, jak się to stało tym razem.

Po zgromadzeniu wyborców z 27 Czerwca 1869 udał się Ziemiałkowski do wspólnych delegacji. Sesja ta była pod wielu względami ważną, mianowicie zaś dla nas już dla tego, że wykazała całą doniosłość uzyskanej przez naszą delegację w r. 1867 koncesji, iż członkowie wspólnych delegacji wybierani być mają

przez kurje krajowe. Koncesja ta zapewniając nam siedmiu polskich reprezentantów w delegacjach wspólnych, oddała w nasze ręce decyzję w najważniejszych sprawach państwowych, w sprawach polityki zagranicznej i siły zbrojnej — jak to właśnie wykazała ta sesja delegacyjna.

Już podczas sesji poprzedniej, która w r. 1868 odbyła się w Peszcie, można było zauważać, że stronnicy Giskry & C^{ie} z pewnym planem stawiali różne trudności wspólnemu Ministerstwu; lecz czy to wpływ powietrza węgierskiego, czy poczucie braku dostatecznych sił, opozycja ta była oględną i jakby podjazdową. Gdy się zaś rozpoczęła sesja r. 1869, zastęp Giskry & C^{ie} stanął do boju z otwartą przyłbicą, tak iż nawet mało przenikliwy mógl dojrzeć, że się toczy walka Ministerstwa cislitawskiego przeciw Ministerstwu państwowemu czyli wspólnemu. Ambicja trawiąca Giskrę zaślepiała go do tego stopnia, iż nie zważał na Węgrów, którzy stali po stronie Beusta, a liczył podobno na Polaków, o których sądził, że niezadowoleni z przebiegu sprawy rezolucyjnej, oponować będą *quand même*, — do czego nas rzeczywiście parli niektórzy nasi Panowie. Co się zaś dotyczy delegatów z innych stronnictw, tych mógl być pewnym, gdyż Ministerstwo wspólne nie liczyło wielu przyjaciół w Radzie Państwa, — co się tem tłumaczy, iż w ogóle tam nie wielu było zwolenników Monarchji austriacko-węgierskiej, którą Ministerstwo to reprezentuje. I tak Lewica wzdychając do zjednoczenia Niemiec, dąży naturalnie do zaprowadzenia unji personalnej z Węgrami, jako środka ułatwiającego połączenie się niemieckich prowincji Austrii z wielką niemiecką ojczyzną. Niemcy czescy, stawiający lewe Centrum, nie mogą darować Węgom, że przez Dualizm wyswobodzili się z pod ich panowania; woleliby więc już służyć Prusakom, skoro nie mogą rozkazywać w całej Austrii. Centrum jak zwykle idzie ślepo z Ministerstwem, a ówczesne Ministerstwo właśnie pragnęło zgruchotać Dualizm, wyjmujący z jego kompetencji najważniejsze sprawy państwowe. Na prawicy zaś Słoweńcy chociaż z innych znów powodów nieprzeblaganą płoną nienawiścią ku Węgom i również pragnąc zerwania ugody węgierskiej, byli mimo woli sprzymierzeńcami Ministerstwa cislitawskiego w tym punkcie.

Pierwszą walkę stoczono z Beustem na polu polityki zagranicznej. Z czerwoną księgą w ręku zarzucano Beustowi, że jest za nadto uległym dla Stolicy apostolskiej, że łącząc się

z Francją, tą odwieczną Niemiec nieprzyjaciółką, a występując szorstko przeciw Prusom, naraża na szwank niemieckie Austrii interesa, — zamiast coby powinien podać rękę Prusom i prowadzić politykę Niemiecką, jako jedynie zbawienną dla Austrii. Przeciw temu zapatrywaniu się powstał Ziemiałkowski, nie tyle w obronie prowadzonej przez Beusta polityki, jak raczej aby wykazać, że polityka zagraniczna Austrii nie może i nie powinna być niemiecka, lecz austriacka; że dążeniem Austrii nie powinno być wciskanie się napowrót do Niemiec, z których dzięki Bogu została wyrzuconą, lecz zabezpieczenie się od Rosji, — a do tego nie przyjaźń z Prusami zaborczymi tak samo jak Rosja, lecz przyjaźń z Francją i takie urządzenie Galicji prowadzi, któreby dzisiejsze odporne względem Rosji stanowisko, w zaczepne zamieniło.

Oparci na tem polu, gdyż delegacja węgierska pochwaliła zewnętrzną politykę Beusta, zaczepili go Niemcy przy subwencji Towarzystwa Lloyd'a, a więc w kwestji czysto pieniężnej i tak mało znaczącej, a przecież dla Węgrów tak drażliwej, że widocznem było, iż im chodziło o coś wcale innego jak o subwencję. Towarzystwo Lloyd'a pobiera na mocy umowy jeszcze z absolutnym rządem zawartej ze skarbu Państwa 2 miliony rocznej subwencji, za co jest obowiązaniem pełnić służbę pocztową na morzu adriatyckiem i śródziemnem. Przy zawieraniu ugody z Węgrami uznano przedsiębiorstwo Lloyd'a za Instytucję wspólną, i podzielono subwencję między skarb węgierski i cislitawski w stosunku 30% do 70%. Podczas pierwszych dwóch sesji delegacyjnych nie robiono przeciw tej subwencji żadnych trudności i umieszczano ją w budżecie dla spraw zagranicznych w pozostającej po strąceniu dochodu pocztowego i podatku dochodowego ilości. Tą razą stronnicy Ministerstwa cislitawskiego zażądali, by podatek dochodowy, wynoszący 80000 fr., a opłacany w Triescie jako siedzibie Towarzystwa Lloyd'a, nie był strącany, co część subwencji na skarb Węgierski przypadającą, o 24000 fr. powiększało. Mimo przedstawień, że słusność wymaga, aby Węgry którzy płąć 30% subwencji, pobierali także 30% z dochodu; mimo groźby że Węgry gotowe w ogóle odmówić subwencję Lloydowi, w którym to razie skarb cislitawski musiałby jako ten, który właściwie zawarł umowę z Towarzystwem Lloyd'a, ponosić cały ciężar subwencji, wniosek komisji budżetowej na wykreślenie z budżetu Ministra spraw

zewnątrznych onego dochodu 80000 fr., utrzymał się na pełnym posiedzeniu delegacji cislitawskiej. Przemawiali zaś i głosowali za wykreśleniem tej pozycji delegacji piastujący wysokie urzęda, tak, że widocznem było, iż walkę tę toczyło Ministerstwo cislitawskie. Tymczasem delegacja węgierska przyjęła tę pozycję w budżecie; przyszło więc do wspólnego głosowania, przy którym Polacy przychylając się do głosów węgierskich rozstrzygnęli rzecz na korzyść Ministerstwa wspólnego.

Przy budżecie wspólnego Ministra finansów, zakwestjonowali Niemcy wprost potrzebę istnienia tego Ministerstwa, chociaż ugoda węgierska wyraźnie Ministerstwo takie ustanawia. Spór ten toczył się wprawdzie tylko w komisji budżetowej, i nie został wprowadzonym na publiczne posiedzenie; zawsze on jednak dowodzi jak zawistnem okiem patrzył rząd cislitawski i jego poplecznicy na wszystko, co było wynikiem ugody z Węgrami.

Nierównie silniejszy atak przypuszczono do Ministerstwa wojny. W komisji stronnictwo Ministerstwa cislitawskiego wносиło takie obciążenia budżetu wojskowego, iż przyjęcie takowych równałoby się prawie zupełnemu rozbrojeniu Austrii. Z biedą udało się tam przeprowadzić wnioski pośredniczące, które po większej części stawiali Polacy. Wtedy wybrany poprzednio referent zwolennik systemu milicji, nie chciał się podjąć referatu w Izbie, i wybrano w jego miejsce szefa sekcji w Ministerstwie spraw wewnętrznych, który wniosków komisji bronił jakby za pańszczyznę. Widocznie więc i przełożonemu pana Referenta nie musiało wiele zależeć na utrzymaniu jakiej takiej siły zbrojnej w stanie bitności, której konieczność Polacy, a szczególnie Ziemiałkowski, wykazywali nieprzyjazną względem austrii postawą Pruss i Rossji,

Po zawotowaniu budżetu wojskowego przyszedł na porządek dzienny dodatkowy kredyt na r. 1869, zażądany przez Ministra wojny z powodu, iż nastąpiło nieprzewidziane przy układaniu budżetu na ów rok podwyższenie cen żywności i furażu. Zdawałoby się że kredyt ten dodatkowy przyzwolony zostanie bez dyskusji, skoro Minister udowodnił podwyższenie cen, a przy tem wykazał że nie utrzymałszy tego kredytu, musiałby rozpuścić około 100,000 ludzi, to jest całą prawie infanterję. Tymczasem Referent, a był nim szef sekcji Ministerstwa spraw

wewnętrznych, postawił w komisji wniosek, by odroczyć rozprawy nad żądanym kredytem, dopóki Minister wojny nie złoży rachunków za rok 1869, czyli innymi słowy, odroczyć tę sprawę aż do Lipca 1870, gdyż przed tym terminem według oświadczenia Ministra wojny rachunki za rok 1869 złożyć było niepodobieństwem. Przyjąć taki wniosek znaczyło nie tylko rozbroić Austrię aż do 1^o Stycznia 1870, odsyłając całą prawie piechotę do domu; lecz zwichnąć zarazem organizację Armji niedawno co uchwaloną, przez uniemożliwienie wyćwiczenia rekrutów w roku 1869 powołanych. A przecież wniosek ten przyjęty został w komisji, i prawdopodobnie byłby został przyjętym także na pełnym posiedzeniu delegacji, gdyby nie przemówienie Ziemiałkowskiego, w którym wykazał jak upokarzającym byłoby dla Monarchji, gdyby się pokazało że w pierwszym zaraz roku po zaprowadzonej nowej organizacji Armji, musi ją rozpuszczać, ponieważ jej nie ma co dać jeść; i jak niebezpieczeństwo w obec ogólnej sytuacji europejskiej byłoby rozbrojenie Austrii.

W tej walce namiestnictwa cislitawskiego przeciw ministerstwu państwowemu stanął Ziemiałkowski po stronie tego ostatniego i bronił go; słusznie więc poniekąd można było powiedzieć, że jest ministerjalnym. Ale jeśli kto mógł mu brać to za złe, to pewnie nie Polacy. Ministerstwo cislitawskie dążyło do sprowadzenia Austrii do stanu niemocy, do stanu, w którymby Austrija musiała stać się służebnicą Prus, tego ideału panów Giskra i Spółki; podczas gdy ministerstwo państwowe pragnęło zawiązać ściśle z Francją przymierze i stworzyć imponującą armję na wszelkie możliwe ewentualności. Dla Polaka wybór był nie trudnym, a Ziemiałkowski stając po stronie ministerstwa państwowego przeciw ministerstwu cislitawskiemu, posądzonem o sympatje dla Prus, działał w przekonaniu, że broni sprawę polskiej. Za to więc, że bronił polityki austriacko-francuskiej przeciw polityce austriacko-pruskiej, że nie dopuszczając rozbrojenia Austrii, bronił kraju naszego przed zaborem rosyjskim, nazywały go dzienniki krajowe kandydatem ministerjalnym, zaprzędanym Niemcom i Żydom!

Rzeczywiście się obszerniej nad tą sesją delegacyjną, by wykazać w całej nagości przewrotność dziennikarstwa krajowego, „kierującego opinią krajową“. Ponieważ Ziemiałkowski bronił ministerstwo wspólne, pochwycono to słowo „ministerstwo“,

i nie wchodząc dalej w to, że Ziemiałkowski postępując tak, występował przeciw ministerstwu cislitawskiemu, nam nieprzyjaznemu, pchającemu Austrię do polityki sprawie polskiej szkodliwej, okrzyczano Ziemiałkowskiego jako popiecznika ministerstwa, jako kandydata Niemców i Żydów. Że dzienniki jak Narodówka, Kraj i Dziennik Lwowski, będące na usługach osób i koterji Ziemiałkowskiemu nieprzyjaznych, użyły tego niegodnego środka, by przy zbliżających się wyborach zdyskretytować Ziemiałkowskiego w oczach wyborców, to da się pojąć, chociaż nie usprawiedliwić. Ale że czytająca publiczność dała się złapać tym dziennikom, to chyba dowodzi, że publiczność ta albo jest bezmyślną, albo tak samo jak dziennikarstwo zdemoralizowaną.

Dzienniki wiedeńskie, zostający na usługach Giskry i Spółki, nie posiadały się ze złości z powodu postępowania Polaków podczas tej sesji wspólnych delegacji; już więc sam instynkt powinien był nam wskazać, że delegaci nasi musieli w tej delegacji dobrze służyć sprawie naszej, skoro nieprzyjaciele nasi byli na nich oburzeni; lecz my podobno straciliśmy już nawet instynkt polityczny — a rozumu politycznego jak nie mieliśmy, tak nie mamy.

Gdy po upadku powstania Rosja zaczęła wytepiać żywioł polski w swoich zaborach, spostrzegliśmy że Galicja jest jedynym i ostatnim zakątkiem, w którym nam wolno być Polakami; i postanowiliśmy z położenia tego korzystać dla wzmocnienia się i zajęcia odpowiedniego temu stanowiska względem dynastji i monarchji austriackiej. Skutkiem tej polityki było postanowienie brania czynnego udziału w sprawach dotyczących się Austrii; opinja publiczna wprowadziła hr. Gołuchowskiego na powrót do pałacu namiestnikowskiego, a Ziemiałkowskiemu oddała przewodniczenie w Sejmie. Wysłana do Rady państwa delegacja, postępując w tym duchu, wyrobiła Polakom pozycję, jakiej nigdy przedtem nie mieli w Austrii. Poważani przez dynastję, uważany przez rząd za jedyny polityczny element w Galicji, stali się w delegacjach wspólnych rozjemcami w najważniejszych sprawach państwowych. A gdy to się stało, my zaczęliśmy obalać ludzi, którzy tę sytuację stworzyli; i pytam się, czy to jest rozum polityczny?

Podczas gdy w skutek takiego fałszowania opinji publicznej złe usposobienie dla Ziemiałkowskiego i jego przyjaciół polity-

cznych w coraz szerszych przyjmowało się kołach, zbliżyły się wybory lwowskie i sesja sejmowa. Już rozpoczęto agitację przedwyborczą, gdy raptem z wygotowanych list wyborców pokazało się, że Sejm z r. 1866 tak ślicznie poprawił Schmerlingowską ordynację wyborczą, iż zamiast 4000 wyborców, których Lwów miał z tytułu opłacanych podatków, obecnie z tego tytułu ledwie 400 weszło na listę. Powstał naturalnie krzyk i żądano odroczenia wyborów, aż Sejm zmieni swą nowelę do ordynacji wyborczej; co zaś szczególniejsza, że dziennikarstwo lwowskie i ten wypadek potrafiło spożytkować przeciw dawniejszym posłom lwowskim: oto wmawiano w publiczność, że rząd umyślnie zredukował we Lwowie liczbę wyborców niezawisłych, aby tem łatwiej za pomocą głosów urzędników przeprowadzić wybór kandydatów Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego. Tymczasem nowelę ową, tak niefortunną dla Lwowa, uchwalił Sejm w roku 1866 z inicjatywy komisji sejmowej, której członkami byli panowie: Grocholski, Krzeczunowicz, Zyblikiewicz, Wodzicki, Skrzyński, Koczyński — sami przeciwnicy polityki Ziemiałkowskiego, który wówczas zresztą nawet nie zasiadał w Sejmie! Lecz to nic nie przeszkadzało; bo też we Lwowie rzeczy doszły były do tego, że już tylko fałszywe znajdowały wiarę, że tylko niedorzeczności miały przystęp do umysłów.

Zadość czyniąc prośbie rady miejskiej, rząd odroczył wybory, a Sejm polecił wybranej ad hoc komisji, aby przedłożyła nowelę do tej niefortunnej noweli, co też wkrótce nastąpiło. Referentem był Grocholski, którego teraz wyrubowano na przewodniczącą polskiego w Sejmie stronnictwa. Lecz jakieś fatum nad tą ustawą. Przyszły dyktator Sejmu okazał zaraz na początku sesji sejmowej w całym blasku ustawodawczy swój talent, odwołując się w projekcie uchwalić się mającej noweli do jakiegoś paragrafu ordynacji wyborczej, który już nie istniał, ponieważ go Sejm zniósł przed trzema laty. Sejm ufając mądrości swego przewodzący, uchwalił jak ten proponował i odesłał uchwałę do Wiednia; tam zaś spostrzeżono nonsens i — odnowiono sankcję. Teraz zapewne obróciła się opinia publiczna przeciw Sejmowi, przeciw Grocholskiemu? Gdzież tam! Uderzono na rząd, że dla „głupiej formalności“ odmawia sankcji. I utrzymywane, że to czyni właściwie dla tego, ponieważ podług tej nowej noweli, powołany zostałby do urny przeważnie element demokratyczny, od rządu niezawisły, a tem

samem kandydatom rządowym, t. j. Gołuchowskiemu i Ziemiałkowskiemu nieprzyjaźny . . .

Nareszcie usunął Sejm przeszkodę sankcji, która też drogą telegraficzną nadeszła; poczem wyznaczono dzień wyborów na 22. października, t. j. czternastego dnia po nadejściu sankcji, tej najnowszej noweli do ordynacji wyborczej.

Przez wgląd na publiczność lwowską nie będąc opisywał szczegółów agitacji przedwyborczej, którą przez te 14 dni prowadziły przeciw „Mamelukom” połączone stronnictwa Demokratów i Rezolucjonistów. Mowy, które w ratuszu i po przedmieściach trzymano, plakaty, które krociami rozlepiano i rozrzucono, nareszcie artykuły drukowane w Narodówce i Dzienniku Lwowskim, tchnęły taką nienawiścią, zaprawiano były takim jadem, a odznaczały się takim brutalstwem, takim cynizmem w potwarzaniu, taką karczemnością w bezczeszczeniu, że trudno pojąć, jak publiczność stolicy słuchać i czytać mogła bez zarumienia obydne te paszkwile.

W wycieczkach przeciw Ziemiałkowskiemu odrzucali się nie tyle Demokraci, ile Rezolucjoniści, a między tymi Dr. Wołski, który aczkolwiek sam przyznał, że coś tam zawdzięcza Ziemiałkowskiemu, a może właśnie dla tego, że mu coś zawdzięczał, ćwiczył się przez te 14 dni w krasomówstwie kosztem sławy swego dobroczyńcy. Towarzystwo demokratyczne dopiero w dzień wyborów pokazało co umie. Za pośrednictwem niektórych panów radnych miasta Lwowa zyskało to Towarzystwo na swe usługi straż ogniową, przeznaczoną do czuwania nad porządkiem przy ratuszu. Był też porządek, co się zowie: wyborcom żydom wydzierano karty legitymacyjne, a potem odpędzano ich jako niemających kart legitymacyjnych; natomiast wpuszczano czeladź, którą zaopatrywano w karty legitymacyjne żydom odebrane, lub z umysłu właścicielom niedoręczone; a gdy mimo to Ziemiałkowski trzymał się na równi z kandydatami demokratycznymi, zwieziono pod wieczór omnibusami paręset przedmieśczan, którym za fatywę dawano po reńskim lub po dwa reńskich. Ci zdecydowali wybór kandydatów demokratycznych Czerneryńskiego i Młockiego tem łatwiej, gdy dzień wyborów był piątkiem, a 22. października słodce wcześniej zachodzi, więc dla szabasu wiele żydowskich wyborców głosów swych oddać nie mogło.

Dla czego Młockiego uważano za kandydata demokraty-

cznego, trudno odgadnąć. Dogmatem wiary demokratycznej było wówczas: „Nie wysyłać do Rady państwa“ — a Młocki wygłaszając w ratuszu swą wiarę polityczną, oświadczył się (jak to dowodzą sprawozdania dzienników) za wysłaniem delegacji. Chyba więc to, że w mowie swej porównał Ziemiałkowskiego z Wielopolskim, zrobiło go godnym demokratycznych głosów, a może też oświadczenie Smolki, że Młocki jest przeciwnym wysłaniu do Rady państwa, bardziej było przekonującym dla panów demokratów, jak własne Młockiego oświadczenie, że jest za wysłaniem.

Trzecim wybranym był Wild, na którego wszystkie stronnictwa głosowały, chociaż w mowie swej na zgromadzeniu przedwyborczym mianej najwyraźniej się przyznał do polityki „Mameluków“. Okoliczność, że mimo tego wyznania „mameluckiej wiary“, Demokraci i Rezolucjoniści głosowali na Wilda, jest najlepszym dowodem, że przeciwnikom Ziemiałkowskiego nie nie szło o obalenie polityki, którą prowadził, lecz o obalenie jego osoby. Dziwnie więc wyglądają słowa Narodówki w artykule wstępnym z 13. listopada 1869: „Główną osią wyborów było zniewolenie Mameluków do złożenia mandatów.“ I któż to był przeciwnikiem tych Mameluków? Kto to głosował przeciw Ziemiałkowskiemu? Oto prócz nielicznych członków Towarzystwa demokratycznego, jeszcze mniej licznych członków klubu Rezolucjonistów i sprowadzonych omnibusami przedmieszczan, stojących na równi z włościanami, głosowali przeciw „rządowemu kandydatowi“ Świętojurecy, Czesi, urzędnicy dykastorjów, w których się jeszcze po niemiecku urzęduje, jako to: dyrekcji finansowej, poczty i telegrafu, duchowieństwo, urzędnicy polityczni i rachunkowi, nareszcie pensjoniści z czasów Bachowskich, a więc przeważnie figury rządowe, i to byli owi wyborcy „niezawisli“, którzy obalili Mameluków, „by dać votum nieufności rządowi.“ Nie do uwierzenia, a przecież prawda, bo — tak pisała Narodówka.

Demokracja narodowa inaczej się na to zapatrywała; widziała ona w wyniku wyborów zwycięstwo polityki Smolki, bo — wybrano jednego federalistę. Wyprawili więc demokraci „fakielcug“ Smolce, wytlukli okna kilku obywatelom, którzy głosowali na Ziemiałkowskiego; potem przez parę dni drnkował Dziennik Lwowski sążniste artykuły o zwycięstwie Federacji i narodowej Demokracji nad ohydny Mameluctwem i Żydostwem, głosząc urbi et orbi, że „naród“ przystąpił do polityki Smolki.

Rezolucjonistom było to trochę markotno, że ich Demokraci wyprowadzili w pole; spostrzegli bowiem, że jedynym skutkiem wysilań krtani Dra. Wolskiego i kieszeni księcia Adama był wybór jednego Mameluka i dwóch nieobsyłaczy Rady państwa. Lecz pocieszali się nadzieją, że po upadku Ziemiałkowskiego owładną delegację, jak już podczas jego nieobecności w Sejmie owładnęli Sejm. To bowiem było ich głównym zadaniem, a szumne frazesy: „energiczne popieranie rezolucji“, „obalenie ministerstwa“, „gruchotanie konstytucji grudniowej“, również jak bałamutne teorie „warunkowego obsyłania Rady państwa“, były tylko piaskiem, który rzucano w oczy publiczności. Widzieliśmy bowiem, jak energicznie potem popierali rezolucję, jak obalali ministerstwo, jak gruchotali konstytucję, jak nareszcie dotrzymali słowa, że za parę tygodni przywiozą rezolucję, albo opuszczą Radę państwa.

SEJM Z ROKU 1869.

Hegel gdzieś powiedział, że co jest, jest rozumem. Nie wiem, czyby to zdanie powtórzył, gdyby wstał z grobu i przypatrzył się naszemu życiu politycznemu. Na wszelki wypadek Goethe był bliższym prawdy utrzymując, że rozum nigdy nie będzie popularnym. U nas można jeszcze pójść o krok dalej i postawić w rzeczach polityki jako pewnik: że to tylko ma przeciwników, co jest rozumem. U nas bowiem tylko skrajne stronnictwa rej wodzą; ci którzy spokojnie rozważać umieją dane, zwykle milczą. Kto więc na jarmarku dziennej polityki chce zrobić szczęście, ten musi żądać rzeczy nierozsądnych, bo wtedy znajdzie przynajmniej jedno stronnictwo które mu przykłaśnie.

Lwowscy Demokraci zachwalali krajowi niezadowolonemu z grudniowej konstytucji, jako jedyny środek zaradczy, niewysłanie do Rady Państwa. Zaważywszy, że konstytucja ta tylko w Radzie Państwa zmienioną być może, i że chcąc aby była zmienioną na naszą korzyść, trzeba nam tam być, żądać odpowiedniej zmiany i popierać ją, — wynika, że środek przez narodowych Demokratów popierany jest oczywistym nonsensem, chyba że przypuścimy, iż przewodzcy Demokratów, pochodzenia czeskiego i z Czechami w ścisłych zostający stosunkach, dążą tak samo jak Czesi do rewizji konstytucji grudniowej przez zamach stanu.

Cóż dopiero powiedzieć o bałamutnej Rezolucjonistów teorii warunkowego obeszania Rady Państwa? Tu już rozum staje,

bo tu nawet żadnego „przypuściwszy“ wymyślić nie można, któreby ten nonsens zmodyfikować mogło. A przecież tysiące polityków galicyjskich powtarzały bez zarumienia się; dzienniki wychwalały jego skuteczność, przdwódczy Rezolucjonistów wołali: *probatum est!* a większość Sejmu uwierzyła w nich jak w proroków i oddała się im na łaskę.

To też bałamutniejszej sesji sejmowej jak owa z r. 1869 trudno sobie pomyśleć. Zagajenie Sejmu przez Marszałka, któremu kraj przez uprzednie miesiące wieszował, że zrzekł się laski marszałkowskiej; odwołanie się w noweli Grocholskiego do paragrafu, który już nie istniał bo go ten sam sejm wykreślił; ustanowienie komisji między-narodowościowej, która nie była uchwalona; postawienie wniosku odnowienia rezolucji w całej osnowie przez tak zwanych Mameluków, a odrzucenie tego wniosku przez tak zwanych Rezolucjonistów; nareszcie sposób w jaki się odbywały uzupełniające wybory do Rady Państwa — są unikatami w swoim rodzaju. Przy wyborach komisji, nawet całkiem obojętnych, rozstrzeliwały się głosy tak, że rzadko kto otrzymywał absolutną większość, a ściślejsze wybory były na porządku dziennym; raz nawet doprowadzono aż do losowania i to między kim? Między Agapsowiczem i — Kowbasiukiem. Ile razy zaś która z tych komisji tak mozolnie wybieranych, przedłożyła Izbie jaki elaborat, przechodzono nad nim do porządku dziennego; lub jeśli elaborat ten tyczył się jakiegoś wniosku wydziałowego, który na złość wydziałowi odsyłano do komisji, natenczas można było być pewnym że Sejm przyjmie na złość komisji, pierwotny wniosek wydziału. Na domiar tego chaosu sejmowego, książę Marszałek jakoś tak był stracił wrodzony zmysł liczbowy, że często brał mniejszość za większość i *vice versa*.

Nie podobna mi opisać wszystkich szczegółów sławnej tej sesji sejmowej, bo zaprowadziłoby mię to za daleko; lecz nie mogę wstrzymać się, bym nie pomówił trochę obszerniej o komisji międzynarodowościowej i o wyborach uzupełniających do Rady Państwa.

Wiadomo wszystkim że Panowie Krakowscy i książę Marszałek zawsze mieli jakąś słabość do Rusinów, z której ich ani zdrada księdza Litwinowicza, ani codzienne dowody że tak zwane stronnictwo ruskie w Sejmie jest w rzeczywistości „ruskiem“, wyleczyć nie mogli. Panowie ci zawsze powtarzali, iż zaprze-

czyć się nie da, że Rusini są, więc trzeba się z nimi liczyć. Prawda że Rusini są, nikt też tego nie przeczy; ale jak ztąd, że Mazury są, jeszcze nie wynika że Mazury są odrębnym narodem, tak też ztąd że Rusini są, nie wypływa że są osobnym narodem; a o to właśnie tak zwanemu ruskiemu stronnictwu idzie w pierwszej linji.

Gdy przez śmierć księdza Litwinowicza zawakowała godność Wice-Marszałka, książę Marszałek wyforytował na nią p. Ławrowskiego w przypuszczeniu, że ten obejmie tem samem przewodztwo stronnictwa świętojurskiego, a jako człowiek umiarkowany ułatwi księciu urzeczywistnienie ulubionej myśli ugody z Rusinami. Snać już przed tem musiały być rokowania między księciem Marszałkiem a p. Ławrowskim, skoro ten zostawszy zamianowany Wice-Marszałkiem zaraz wziął się do dzieła, i nim Sejm się zebrał, miał już gotowy projekt ugody, który jako wniosek Sejmowi miał przedstawić. W projekcie tym nie było wprawdzie mowy o podziale Galicji, bo toby zanadto raziło Polaków; lecz żądano tam uznania że Rusini są odrębnym narodem w Galicji, co w najbliższem następstwie prowadzić musiało do podziału Galicji; bo jeśli my od Rady Państwa żądamy odrębności dla Galicji dla tego, że jesteśmy odrębnym narodem, to konsekwentnie idąc musielibyśmy przyzwolić na odrębność ruskiego kraju, skorobyśmy przyznali, że Rusini są odrębnym narodem. Dalej żądano w owym projekcie, by sprawy dotyczące się narodu ruskiego rozstrzygane były w Sejmie li przez posłów narodowości ruskiej; co byłoby faktycznym podziałem Sejmu na polski i ruski. Nareszcie żądano zaprowadzenia języka ruskiego jako urzędowego w sądach powiatowych ruskiej części Galicji, co niweczyło uzyskane właśnie, przez zaprowadzenie języka polskiego jako urzędowego w sądach i urzędach, uznanie, że Galicja jest krajem polskim.

Zdaje się że świętojurcy i ich przyjaciele między Polakami w Sejmie, po przeczytaniu Krytyki tego projektu w jednym z Dzienników krajowych ogłoszonej, stracili nadzieję przeprowadzenia tej potwornej ugody nawet na owczesnym Sejmie; zaniechano bowiem wniesienia tego projektu do Sejmu i postanowiono przemycić go przez Sejm, korzystając z pierwszej lepszej sposobności. I tak gdy położono na porządek dzienny wniosek rządowy znoszący przymus uczenia się obowiązkowo drugiego

języka krajowego, i uczyniono wniosek by rzecz tę odesłać do osobnej komisji z Sejmu wybrać się mającej, zabrał głos p. Ławrowski i wykazując w czułym przemówieniu jak zgubną dla kraju jest niezgoda między Rusinami i Polakami, a jak zbywającą byłaby dla jednych i drugich zgoda, zaproponował by przy załatwieniu wniosku rządowego, o którym była mowa, załatwiono wszystkie spory istniejące między pobratymczymi narodami ruskim i polskim. Poseł Kowalski popierając p. Ławrowskiego, był zdania, że do tego powinno być wybrane osobna komisja między-narodowościowa, lecz wniosku żadnego nie postawił. Mowy te, a szczególnie Ławrowskiego obsypano oklaskami, jakich Sejm galicyjski dawno nie słyszał; panowie Sawczyński i Zyblikiewicz, którzy aczkolwiek synowie ruskich księży, z żarliwością występowali dotąd przeciw zachciankom świętojurców, wtorowali Ławrowskiemu w swych przemówieniach, a książę Adam Sapieha, dotąd najzaciętszy wróg świętojurców, tak się rozczulił na samą myśl zgody, że obwinił ojców naszych o prześladowanie, krzywdzenie i uciskanie Rusinów.

Powstali wprawdzie przeciw temu posłowie Golejewski i Polanowski; lecz gdy na zarzut niekonsekwencji uczyniony Dr. Zyblikiewiczowi ze stenograficznych zapisków, z których Polanowski odczytał siarczystą mowę Zyblikiewicza przeciw Rusinom mianą na poprzedniej sesji sejmowej — Dr. Zyblikiewicz odparł: iż żałuje że poseł Polanowski niczego nie zapomniał i niczego się nie nauczył — odpowiedź ta zaimponowała Sejmowi tak, że zapomniał o dotychczasowem postępowaniu świętojurców, o zdradzie księdza Litwinowicza i o jawnem księdza Naumowicza wyznaniu że Rusini uważają się za część narodu rosyjskiego. Sejm zapomniał o wszystkim, tak jak Dr. Zyblikiewicz; lecz nie nauczył się nic nowego, bo gdy poseł Golejewski odezwał się do świętojurców z wezwaniem, by oświadczyli że nie są Moskalami, przyrzekając w takim razie popierać ich żądania, nikt z nich, nawet p. Ławrowski nie uczynił zadość temu wezwaniu. A przecież, z wyjątkiem Mameluków, wszyscy byli bardzo zadowoleni z Rusinów, i radowali się że ugoda z Rusinami nareszcie przyjdzie do skutku — bo tak utrzymywał książę Marszałek.

Po zamknięciu dyskusji nad wnioskiem formalnym co do załatwienia rządowego o zniesieniu przymusu językowego, t. j.

nad wnioskiem by przedłożenie to odesłać do osobnej komisji ad hoc wybrać się mającej, przystąpiono do głosowania nad tym formalnym wnioskiem i przyjęto go. Poseł Kowaleski, który żądał osobnej komisji do załatwienia wszystkich sporów między Rusinami i Polakami, tak nazwanej przezeń komisji między-narodowościowej, nie postawił właściwego wniosku, więc oczywiście i głosowania nad tem nie było. Nazajutrz wszakże oznajmił książe Marszałek, że na porządku dziennym jest wybór do komisji „między-narodowościowej“. Poseł Chrzanowski zaprotestował przeciw tej nazwie, dowodząc że Sejm takiej komisji nie uchwalił, gdyż wniosek nad którym głosowano miał na celu wybranie komisji do zdania sprawy z przedłożenia rządowego o zniesieniu przymusu językowego. Książe Marszałek nic na to nie odrzekł, lecz gdy wybór do tej komisji został uskuteczniiony, książe nazwał ją znowu między-narodowościową. Poseł Chrzanowski znowu protestował przeciw tej nazwie, książe Marszałek znowu nic nie odrzekł, i znowu gdy mu przyszło mówić o tej komisji nazwał ją między-narodowościową; tak że nareszcie nazwa ta przyjęła się, a Sejm sankcjonując cichaczem komisję między-narodowościową, przyznał że w Galicji jest prócz Polaków inny jeszcze naród, i to naród mający odrębne prawa polityczne, skoro Sejm dla zawarcia „ugody“ wysadził komisję „między - narodowościową“.

Do tej to komisji, wybranej dla zbadania wniosku rządowego o zniesienie przymusu językowego, a przechrzczonej na między-narodowościową, wszedł także p. Ławrowski, i jako członek tej komisji wniósł tam swój projekt ugody Rusinów z Polakami. Jakim to się stać mogło tytułem, nie pojmuję, bo jużci projektu tego nie podobna uważać za poprawkę do wniosku rządowego o zniesieniu przymusu językowego w szkołach; a do zastanawiania się nad innymi przedmiotami komisja ta nie była powołaną. Lecz podczas owej sesji działy się w ogóle rzeczy, których pojąć trudno. Z tem wszystkim wniesiony przez p. Ławrowskiego projekt ugody, był to orzech twardy do zgryzienia; więc przy schyłku sesji sejmowej komisja owa przyznawszy się, że nic nie zrobiła, zaproponowała Wysokiej Izbie, by sprawę tę odesłała do wydziału krajowego z poleceniem, aby zamianowawszy po zamknięciu Sejmu komisję z rzeczoznawców, razem z nią zastanowił się nad tą sprawą i przyszłemu Sejmowi

zdał sprawę. Wniosek ten naturalnie został przyjęty, bo Sejm 1869 lubował się w spychaniu wszystkich spraw ad feliciora tempora. Tym sposobem, „ugoda między Rusinami i Polakami“ narobiwszy w Sejmie i w dziennikarstwie hałasu, a w kraju niemało zgorszenia, utonąła w Wydziale krajowym, gdzie dotąd spoczywa. Zapewne zdziwi to niejednego, że sprawa tak gorąco popierana przez księcia Marszałka, przez księcia Adama i przez partję Krakowską, sprawa z taką wyrachowaną okazalnością wprowadzona na scenę, poszła tą samą drogą jak sprawa propinacyjna i inne nie miłe sprawy. Mnie się zaś zdaje, że w tem nie ma nic dziwnego. Koalicja dążąca wszelkimi sposobami do wyrugowania Mameluków ze stanowisk przez nich zajętych, potrzebowała do dopięcia tego celu, w pierwszej linji przy uzupełniających wyborach do Rady Państwa, głosów ruskich; wystąpiła więc jako obronicielka „pobratymczego narodu ruskiego“, zostawiając Mamelukom odium bronienia polskości kraju naszego. Przy tem chcieli ci panowie zarekomendować się tym sposobem pewnym wysokim sferom, w których od czasu do czasu odzywają się sympatje „für die braven Ruthenen“, a oraz pokazać iż to oni są w Galicji „regierungsfähig“ ponieważ po ich stronie stoją nie tylko Polacy ale i Rusini; podczas gdy Mamelucy przez swój polski szowinizm stali się niezdolni do kierowania losami kraju, zamieszkałego nie tylko przez Polaków ale i przez Rusinów. A kto wie, czy to nie była przygrywka do owej „polityki ugodowej“ którą w parę miesięcy później na szerszym horyzoncie inaugurował hr. Alfred owym sławnym Memorjałem mniejszości, a uwieńczył jeszcze sławniejszą podróżą do Pragi? Bądź co bądź, to pewna, że przez zręczne wprowadzenie tej ugody na scenę zyskali sobie głosy ruskie przy wyborach uzupełniających do Rady Państwa; co się z tą ugodą potem stanie, o to się już nie bardzo troszczono; ci panowie bowiem brali zgodę z Rusinami tak samo na serjo, jak to czynią ich przyjaciele w Czechach, panowie Thuny i Martinitzy z narodowością czeską. Muszę tu wszelako zrobić wyjątek: książę Marzałek i po zamknięciu Sejmu nie przestał sprzyjać Rusinom. I tak gdy w wydziale krajowym przystąpiono do wyboru komisji dla rozpoznania projektu ugody z Rusinami, zdarzyło się dwa razy iż były równe głosy za Ziemiańkowskim i za Świętojурcem: otóż książę Marzałek obydwu razy rozstrzygnął za Świętojурcem, i

stało się że w komisji tej Rusini mieli większość, co nawet Ks. Pawlikowa wybranego do tej komisji zgorszyło! — Lecz na tej manifestacji skończyło się. Komisja uchwaliła pierwszy artykuł orzekający że Rusini stanowią osobny naród (jak gdyby istnienie narodu można zadekretować paragrafem!) i ani kroku dalej nie postąpiła. Przy konferencjach notablów galicyjskich wspomniał coś hr. Potocki o konieczności zawarcia ugody z Rusinami, jako o warunku uzyskania tego co Rząd obiecywał obiecać; przy wyborach do Sejmu 1870 popierał komitet Marszałkowski kandydaturę p. Ławrowskiego i przeprowadził go w Stryju, a hr. Potocki przedstawił go znowu na Wice-Marszałka; ale gdy się Sejm zebrał, nikt nie wspomniał ani o projekcie ugody przez p. Ławrowskiego wniesionym, ani o sprawozdaniu Wydziału o tym projekcie, ani o ugodzie z Rusinami w ogóle. Nawet książę Adam zapomniał o swej przeszłorocznej roli i stawszy się dawniejszym księciem Adamem wypalił przeciw Świętojurcom taką Filipikę, że go aż do porządku przywołać musiano.

A teraz słów kilka o wyborach uzupełniających do Rady Państwa przedsięwziętych podczas tej sesji sejmowej.

Wybory te były osiã, około której obracała się cała polityka koalicji. Już w Wiedniu dążyło pewne stronnictwo w delegacji do tego, by delegaci złożyli mandaty; potrzebne mu to było dla ratowania Ministra rodaka, który na pewną ewentualność zapowiedział był w Radzie Ministrów wystąpienie delegacji z Rady Państwa. Większość delegacji oparła się temu, a Cesarz (co za ironia!) podziękował za to panu Grocholskiemu. Rządowi zostającemu wówczas w bardzo naprężonych stosunkach z Prusami, a traktującemu z Francją i Włochami o przymierze, zależało na tem, by wewnątrz nie zaszło nic takiego, coby mogło zdradzić niegotowość jej wewnętrznych stosunków. Dla tego chciano załatwić sprawę rezolucji w sposób, odraczający wprawdzie merytoryczne zadość uczynienie życzeniom kraju, lecz nie drażniący go. A gdy wniosek Wasera, (mogący uchodzić za inspirowany, gdyż Waser był szefem sekcji) treści następującej: 1. Izba wzywa rząd, aby przy sprawowaniu władzy wykonawczej uwzględniał odrębne stosunki i potrzeby Galicji. 2. Izba wyraża swą gotowość uwzględniania odrębnych potrzeb i życzeń Galicji przy uchwalaniu specjalnych — upadł w komisji konstytucyjnej dla tego, że Polacy przeciw niemu

głosowali; zwlekano z wyższego polecenia wprowadzenie do Izby niefortunnego wniosku komisyjnego, ponieważ usposobienie Izby nie rokowało rezolucji dobrego końca: w wyższych zaś sferach nie życzone sobie, aby żądania Galicyjskiego Sejmu zostały odrzucone. I tym-to sposobem stało się, że prezydent Izby w wilję zamknięcia Rady Państwa oświadczył, iż rezolucja galicyjska dla braku czasu w tej kadencji załatwioną być nie może. Aby zaś kraj zapewnić, że to nie jest lekceważeniem jego sprawy, lecz odroczeniem w interesie samej sprawy, wyraził Cesarz p. Grocholskiemu, obok podziękowania za pełne taktu zachowanie się delegacji, nadzieję iż w jesieni gdy się znowu zbierze Rada Państwa, życzeniom Galicji zadość się stanie, gdyż on sobie życzy aby Polacy byli zadowoleni. Co więcej: Cesarz chcąc okazać, jak Polakom sprzyja, obdarzył na swe urodziny polskiego reprezentanta w Radzie korony orderem złotego runa. Łaska ta monarsza była nagrodą za pełne taktu postępowanie delegacji galicyjskiej, które Monarcha przypisywał wpływowi Ministra na swych ziomków!! I tem tylko dadzą się wytłumaczyć słowa, które jeden z Magnatów niemieckich, także dekorowany złotem runem i stojący bardzo blisko dworu, powiedział w dzień urodzin cesarskich do jednego z delegatów polskich, pokazując na hr. Potockiego wychodzącego z tumu S. Szczepana z zawieszonym po raz pierwszy złotem runem na szyi: Lassen Sie sich ein Stück von diesem Lamm zum Osterbraten geben; denn ein guter Theil davon gehört Ihnen. — Nareszcie aby uspokoić naszą niecierpliwość i namacalny krajowi dać dowód że może ufać nadziejom, z którymi Cesarz zegnął naszą delegację, kazano w Galicji zaprowadzić język polski jako język urzędowy w sądach i urzędach. Szeptano sobie, że to było dziełem Ziemiałkowskiego, lecz mniejsza o to, dość że wszystko kazało wróżyć, iż z najbliższej sesji Rady Państwa delegacja galicyjska nie wyjdzie z próżnemi rękami.

Widząc to pewni panowie Krakowscy i Galicyjscy, powiedzieli sobie: będzie żniwo, usuńmy tych którzy uprawili rolę i zasiali ziarno, a sami jedźmy plon zbierać. Cała też taktyka tych Panów zasadzała się na tem: namówić, a jeśli się to nie uda, zmusić delegatów do złożenia mandatów, a potem wybrać siebie w ich miejsce.

Chociaż Horodyski, Hubicki, Jabłonowski, Pfeiffer i Rogawski opuścili jeszcze w Wiedniu szeregi większości delegacyjnej; chociaż większości tej ubyli Wężyk, Ziemiałkowski, Chrzanowski i Zbyszewski, pierwsi przez złożenie mandatu poselskiego, a drudzy przez złożenie mandatów do Rady Państwa: zawsze jeszcze ci, którzy zatrzymali mandaty, stanowili większość delegacji, a tu się zbliżał dzień uzupełniających wyborów. Chwycono się więc środków heroiczych. Bogobojne Panie przy pomocy księdza Arcybiskupa skruszyły opór księdza Morgensterna i księdza Sulikowskiego do tego stopnia, że ci szanowni kapłani tak gorąco występujący w Wiedniu przeciw składaniu mandatów, uderzyli się publicznie w piersi, nazwali „zgorzeniem“ upieranie się przy nieskładaniu mandatów, i złożyli takowe. Mniej szczęśliwą była księżna Marszałkowa z hr. Włodzimierzem Baworowskim; nie udało się też księciu Marszałkowi zmieknąć Franciszka Torosiewicza, którego przez posła Podlewskiego kazał prosić, by mandat złożył; lecz zabiegi te gorszące zniecierpliwily do reszty delegatów Bocheńskiego i Polanowskiego, i spowodowały tych dzielnych i nieustraszonych obrońców niezawisłości poselskiej, iż usunęli się od dalszych czynności w delegacji. Poseł Bocheński wypowiedziawszy naszym Panom słowa prawdy, jakich dotąd nie słyszeli, złożył mandat poselski. Poseł Polanowski zaś, którego chciano skaptować obietnicą, że napowrót będzie wybranym do Rady Państwa, oświadczył publicznie że nie umie grać komedji podawania się do dymisji, że przeto gdyby złożył mandat, ponownego wyboru nie przyjąłby; a ponieważ względ na dobro kraju nie pozwala mu składać stanowczo mandatu do Rady Państwa (w miejsce jego trzebaby było wysłać do Wiednia zagorzałego Moskala, gdyż w jego kurji nie było kogo innego) więc mandat zatrzyma, lecz w czynnościach delegacji udziału brać nie będzie*).

*) Gdy po wystąpieniu delegacji z Rady Państwa w Marcu 1870, po rozwiązaniu Sejmu przedsiębrano wybory do Sejmu, zarzucił ktoś na zgromadzeniu wyborców z większych posiadłości obwodu Żółkiewskiego nieobecnemu Polanowskiemu, że tylko ks. Guszalewicz i

Tym sposobem zredukowała się liczba tych, którzy zatrzymali mandaty do 16; lecz ani to nie zaspajało koalicji że ci delegaci byli już w mniejszości; ani to, że w liczbie tej było czterech włościan, którzy zwykli iść z większością. Bała się ona wszystkiego co tylko trąciło samoistnością; więc gdy przy wyborach ogłoszono, że poseł Pietruski został wybranym do delegacji, pan Grocholski oświadczył, że składa mandat do Rady Państwa, ponieważ nadwątlone zdrowie nie pozwala mu podejmować się trudów w delegacji. Dziwna rzecz, że pan Grocholski czuł się zdrowym jak długo z urny wychodziły osobistości jemu miłe; a miał on czas obrachować się ze zdrowiem swoim, bo Pietruski dopiero przy drugim wyborze wyszedł z urny, podczas gdy pan Grocholski od razu został wybranym. W ślad za panem Grocholskim poszli i inni nowo wybrani delegaci, a Pietruskemu powiedziano, że Grocholski nie chce z nim jechać do Wiednia i dla tego mandat złożył, przy czem mu radzono po przyjacielsku, by złożył mandat, ponieważ Grocholski jest niezbędnym potrzebny w delegacji. Poczciwy poseł Stryjski połknął tę gorzką pigułkę i — złożył mandat. Przystąpiono do nowych wyborów, i wybrano wszystkich tych którzy właśnie byli posiadaczami mandatów, wyjąwszy (rozumie się) Pietruskiego. Pan Grocholski, który raptem wyzdrowiał, przyjął tym razem mandat; pytającemu zaś koleźce Hönigsmanowi, jak się nazywa ten cudowny lekarz, który go tak szybko wyleczył — odpowiedź dotąd został winien.

on nie podpisali deklaracji, którą delegacja przed wystąpieniem ogłosiła przez usta swego prezesa w Izbie poselskiej. Na zgromadzeniu owem byli obywatele, którzy zasiadali razem z Polanowskim w Sejmie i słyszeli oświadczenie Polanowskiego, iż w czynnościach delegacji udziału brać nie będzie; i dziwna rzecz, że żaden z tych obywateli nie odparł owego zarzutu tą prostą uwagą, że Polanowski po owem oświadczeniu nie pojechał nawet do Wiednia, a więc i owej deklaracji podpisać nie mógł. Dodać tu nie zaszkodzi, że Polanowski, skoro się o owej deklaracji dowiedział, mandat swój do Rady Państwa natychmiast złożył na ręce Wydziału krajowego.

Dzięki tym zabiegom, a poczęści maleńkiej zdradzie jednego z głośniejszych Mameluków, wybory uzupełniające do Rady Państwa wypadły podług myśli pana Grocholskiego, którego od początku sejmowej sesji uważano za przewodnika Sejmu. Rezolucjoniści i Stańczyki zwyciężyli, Mamelucy pobici z kretesem! Co ci zasiali, tamci mieli zbierać. Sic vos non vobis...

DZIEJE DELEGACJI Z ROKU 1869.

Przybywszy do Wiednia, znalazła tam delegacja nader korzystną dla nas konstelację. W ministerstwie było rozdwojenie; z jednej strony Hasner, Giskra, Herbst, Brestel i Plener obstawający przy systemie centralizacji, podali się do dymisji; z drugiej strony Taafe, Berger i Potocki żądający ugody z narodowościami, prosili także o uwolnienie od urzędu. Cesarz się wahał. W takim stanie rzeczy wystarczał nawet rozum gospodarski do zorientowania się. Gdyby delegacja nasza — jak to w kraju szumnie zapowiedziała — była się wzięła do dzieła energicznie, postanowienie Cesarza sprzyjającego Polakom, wypadłoby było podobno na korzyść mniejszości ministerjalnej, a Dr. Zybliekiewicz mógłby się być z większem, niż to po upadku tej mniejszości czynił, uprawnieniem chwalić, że delegacja obaliła minisetrstwo. Na wszelki wypadek delegacja mogła była coś wytargować dla kraju. Tymczasem co się dzieje?

Przewódzca delegacji, pan Grocholski, postawił wprawdzie zaraz na wstępie w Izbie wniosek równobrzmiący z rezolucją sejmową z roku 1868; lecz przy dyskusji adresowej przemawiał za ogólną ugodą z niezadowolonymi narodowościami, opuścił więc stanowisko rezolucji, t. j. żądanie odrębności dla Galicji, bez mieszania się do spraw innych krajów, i wstąpił napowrót na drogę, która w r. 1867 doprowadziła delegację do konstytucji grudniowej. Co więcej, w chwili gdy komisja adresowa uchwaliła już była adres w duchu większości ministerjalnej, gdy więc delegacja nasza wiedziała już, jaki los spotka wniosek pana Grocholskiego, zażądał tenże, aby Izba dla rozpatrzenia się w jego wniosku wybrała komisję i takowej wniosek ten od-

stąpiła; czem zadokumentował, że delegacja nie opuści Rady państwa, chociaż uchwalony będzie w Izbie adres odmawiający Polakom z góry wszelką nadzieję jakichkolwiek koncesji dla kraju. Aby zaś pod tym względem żadna nie pozostała wątpliwość, Dr. Zyplikiewicz i Grocholski w imieniu delegacji oświadczyli, że będzie brała udział w uchwalaniu rekruta i budżetu, ponieważ załatwienia tych spraw interes państwa wymaga!

„Precz z większością delegacyjną“, wołano przed Sejmem i podczas Sejmu roku 1869, „nam trzeba ludzi energicznych!“ I pozwolono panu Grocholskiemu dobrać sobie tych ludzi energicznych. „Precz z tymi, co podporządkowują sprawy krajowe interesom państwa; nam trzeba ludzi, którzy przedewszystkiem o kraj dbać będą“ — i wysłano takich ludzi do Wiednia, którzy głośno zapowiadali, że za parę tygodni przywiozą rezolucję, albo opuszczą Radę państwa. A tu mijał miesiąc za miesiącem, a delegacja energicznie zezwalała na pobór rekruta, energicznie uchwalała podatki, energicznie nawet broniła w komisji rezolucji, bo zażądała aż dwóch namiestników dla Galicji; lecz Rady państwa nie opuszczała, bo snąc interes państwa tego nie pozwalała. Nawet gdy komisja rezolucyjna uchwaliła zaproponować Izbie przejście do porządku nad wnioskiem p. Grocholskiego, zawierającym w sobie rezolucję Sejmu z r. 1868, jeszcze delegacja nie myślała o opuszczeniu Rady państwa. Zapewnił mię bowiem jeden z członków dawniejszej większości delegacyjnej, który nie dawszy się ani prośbami ani groźbami nakłonić do złożenia mandatu, pojechał do Wiednia z nowo uformowaną delegacją, że zapytawszy się po owej uchwale jednego z najenergiczniejszych członków delegacji ironicznie, kiedy delegacja opuści Radę państwa? — otrzymał następującą odpowiedź: A pocóż to mielibyśmy opuszczać Radę państwa? My tu przyjechaliśmy, by obalić ministerstwo, a to się stało; więc skoro cel osiągnięty, nie ma powodu opuszczania Rady państwa. —

Zapewniał mię znów, aczkolwiek nie członek delegacji, ale zawsze człowiek na wiarę zasługujący, że w owym właśnie czasie dowiadywano się z najwyższych sfer w mieszkaniu hr. Alfreda Potockiego, gdzie tenże się obraca? Wiadomo bowiem, że po wystąpieniu z ministerstwa pojechał hr. Potocki do Rosji, by tam starać się o jakąś koncesję kolejową. Wiem także z tego samego źródła, że jednego pięknego poranku w tymże samym

czasie konferował hr. Ludwik Wodzicki z hr. Beustem, i że zaraz potem pan prezes koła polskiego zwołał delegatów na posiedzenie, na którym ku niemałemu profanów zdziwieniu oznajmił koło, że niepodobna dłużej pozostać w Radzie państwa, i odczytał wygotowane już oświadczenie, które nazajutrz w Izbie wygłoszonym być miało.

Koło przyjęło jednogłośnie tę propozycję, a co nader jest ciekawem, nawet włościanie nie sprzeciwiali się, ci sami włościanie, którzy rok przedtem głównie przyczynili się do tego, że delegacja nie opuściła Rady państwa. Słyszałem, lecz temu nie wierzę, że włościanom szepnięto na ucho, iż Cesarz sobie życzy, by delegacja galicyjska opuściła Radę państwa. Jak uchwalono, tak też zrobiono. Prezes koła wygłosił w Izbie znaną deklarację, że delegacja składa mandaty do Rady państwa, poczem delegaci wyszli z Izby.

A gdy się o tem rozeszła wieść, kazano mieszkańcom Lwowa iluminować domy; kazano cieszyć się miastu stołecznemu, że delegacja opuściła Radę państwa — na rozkaz z góry. Spierano się wprawdzie o to, kto właściwie zwycięstwo odniósł: czy Rezolucjoniści, dowiódłszy iż są energicznymi — w posłuszeństwie? czy Demokraci, którzy przekonali świat, iż nie ma po co jechać do Wiednia, bo tam się nic nie wskóra? Lecz spór ten nie zakłócił zgody w wybijaniu okien Mamelukom, którzy nie widząc powodu do radości w tem, że delegacja wracała z niczem do domu, nie usłuchali szanownych szewczyków, nakazujących iluminację.

Gdy delegacja nasza wygłaszała przez usta prezesa koła, że składa mandaty i tem samem opuszcza Radę państwa, przyszły prezes ministrów, po którego telegrafowano do Petersburga, siedział w Krakowie, czekając na rozwiązanie dramatu, w którym delegacja nasza tak znakomitą odegrała rolę. — Najjaśniejszy Pan był podówczas w Budzie, a gdy się dowiedział, że Polacy opuścili Radę państwa, mocno się tem zmartwił; wiedział on bowiem, że ministrowie jego, których serdecznie chciał się pozbyć, uczynili byli właśnie krok, który musiał pociągnąć za sobą podanie się ich do dymisji. Członkowie większości ministerjalnej nosili się od dawna z myślą zaprowadzenia wyborów bezpośrednich do Rady państwa; innego zdania byli Taafe, Berger i Potocki, i dla tego jak długo trwało ministerjum Taafe, mieli tamci panowie wymówkę. Po wystąpieniu tej

mniejszości ministerjalnej dziennikarstwo niemieckie zaczęło się upominać tem natarczywiej o zaprowadzenie bezpośrednich wyborów, a ministerjum Hasner widziało się zmuszonym wywiązać się z danego tylekrotnie przyrzeczenia; lecz zamiast ustawy zaprowadzającej bezpośrednie wybory, zdobyło się tylko na tak zwane „Nothwahlgesetz“, t. j. ustawę nakazującą bezpośrednie wybory w miejsce tych delegatów, którzyby z mandatu swego użytku robić nie chcieli. Ustawa ta została uchwaloną na Radzie ministrów; lecz całe niemieckie dziennikarstwo potępiło ją jako połowiczną, tak, iż nie podlegało najmniejszej wątpliwości, że upadnie w Izbie, jeśli ją ministerstwo wniesie. Byli nawet tacy, którzy podejrzewali ministerstwo, iż samo szuka okazji podania się do dymisji; trudno bowiem było pojąć, dla czego ministerstwo, mimo tak ogólnego potępienia tej zamierzonej ustawy, przy niej się upierało i nareszcie ją Izbie przedłożyło. Lecz ledwie to się stało, prezes koła zwołał naszych delegatów, jak to już powiedziałem, na nadzwyczajne posiedzenie, na którym uchwalono opuścić Radę państwa, co też na drugi dzień skuteczniono, jak gdyby chciano przyjść w pomoc ministerstwu. Niemcy bowiem przestraszeni tym krokiem delegacji polskiej, zapominają o „Nothwahlgesetz“ i stają po stronie ministerstwa, czem uspokojony Hasner, jedzie do Budy z propozycją rozwiązania Sejmu galicyjskiego. Ależ Sejm galicyjski nie zawinił, że delegacja jego złożyła mandaty do Rady państwa. Cesarz więc nie chciał przystać na propozycję Hasnera, co spowodowało podanie się całego ministerstwa do dymisji, którą Cesarz przyjął, powierzając hr. Potockiemu, przybyłemu właśnie do Wiednia, złożenie nowego gabinetu.

Ustąpili więc niemili Cesarzowi ministrowie, ale ustępując, unieśli z sobą sympatje stronnictwa niemieckiego, podczas gdy zmuszeni do ustąpienia przez odrzucenie „Nothwahlgesetzu“, byliby poszli wyszydzeni przez własnych swych ziomków i stali się nadal niemożliwymi.

Tak więc mameluctwo delegacji utorowało przyszłość Hasnerów, Giskrów i Herbstów. Składając „po ukazu“ mandaty w chwili, w której ministerjum Hasner wniosłszy do Izby „Nothwahlgesetz“, podpisało było już swój wyrok śmierci, delegacja nasza zdziałała, że ministerjum, które musiałoby być za parę dni ustąpić ze wstydem, ustąpiło wprawdzie jeden lub dwa dni pierwej, ale otoczone aureolą. I za to „energiczne

wystąpienie“ żądała delegacja od kraju uznania i — otrzymała!
I jakże tu nie być Mamelukiem?

Zdaje się wszakże, że w pierwszej chwili delegacja nasza sama się zlekła swej heroicznej usłużności; posłano bowiem do Budy Ludwika hr. Wodzickiego, aby wyjednał dla siebie i dla prezesa koła audjencję u Cesarza, celem „wytłumaczenia się.“ Kto się nie poczuwa do złego, ten nie szuka tłumaczenia się. Jakiego rodzaju zresztą było to tłumaczenie się na audjencji, którą tym panom Cesarz wkrótce potem w Wiedniu udzielił, nie wiem; słyszałem tylko, że panowie ci opowiadali, iż Najjaśniejszy Pan bardzo łaskawie ich przyjął, i że między innymi powiedział, że jakkolwiek nie może brać za złe Polakom tego, co uczynili, żałuje jednak że nie zostali jeszcze kilka dni dłużej w Radzie państwa. „Kilka dni dłużej“ — a ministerstwo Hasner byłoby upadło pod ciężarem zarzutów własnej koterji i nie przyszłoby było do rozwiązania Sejmów, fiaska w Pradze i całego tego chaosu, który zapanował w Cislajtawji! . . .

ZJAZD MARSZAŁKÓW.

Nadmieniłem, że po wystąpieniu Polaków z Rady państwa ministerjum Hasner chciało rozwiązać Sejm galicyjski, i że temu się Cesarz oparł, co spowodowało ustąpienie tego ministerstwa. Działo się to 3. czy 4. kwietnia. W tydzień później przejeżdżał tędy były prezes Koła polskiego, udając się do Lwowa, i konferował tu z hr. Henrykiem Wodzickim, Zyplikiewiczem i Manem. Przedmiotem narad było zwołanie marszałków powiatowych do Lwowa w celu zawiązania komitetu przedwyborczego. Gdy się o tem wieść rozeszła po Krakowie, uważano ją za niewczesny żart; bo czyliż można była brać na serio wieść o zawiązaniu komitetu przedwyborczego w kilka dni po stanowczej odprawie danej przez Cesarza Hasnerowi, żądającemu rozwiązania Sejmu galicyjskiego? Lecz już w tydzień po przejeździe Grocholskiego przez Kraków otrzymali marszałkowie powiatowi, tudzież prezydenci obu stolic Lwowa i Krakowa, wezwanie od byłego prezesa Koła polskiego, aby na 2. maja przybyli do Lwowa celem ustanowienia komitetu do kierowania wyborami do Sejmu.

Pytał się niejeden w kraju, z kąd się wzięła panu Grocholskiemu oryginalna myśl spraszania na pogrzeb, kiedy ten, kogo miano chować, żył i nie myślał umierać? Pytano się także, jak marszałkowie powiatowi i prezydenci stolic naszych, będąc urzędnikami w całym słowa znaczeniu (bo potrzebują zatwierdzenia cesarskiego i składają jako urzędnicy przysięgę), mogą być mocodawcami komitetu mającego kierować wyborami posłów? Pytano jeszcze o wiele innych rzeczy, ale nim którekolwiek z tych pytań mogło być rozwiązane, panowie marszałkowie zjechali się do Lwowa; a z nimi przybył także Dr. Zyplikiewicz

jako zastępca miasta Krakowa. Doktor Dietel bowiem, prezydent naszego miasta, odmówił — więc rada miejska nie podzielająca zdania swego prezydenta, wydelegowała Dra. Zyblikiewicza. Miasto Lwów nie było na tym zjeździe reprezentowane, gdyż ani burmistrz, ani rada miejska nie uważali za stosowne mięszać się do tej roboty. Z pomiędzy marszałków powiatowych dwóch tylko zaprotestowało; ośmiu czy dziesięciu zbyli wezwanie pana Grocholskiego milczeniem i nie przyjechali; ogółem przybyło około sześćdziesięciu marszałków lub wydelegowanych zastępców.

Przed ogólnem posiedzeniem odbyła się poufna konferencja u. p. Grocholskiego, na której znajdowali się tylko zaufani jego przyjaciele. Polecam wszystkim panom krakowskim i galicyjskim, aby poufnych konferencji nie odbywali w oberżach. Jak tych panów krakowskich, którzy po uchwaleniu tak zwanej rezolucji, żądającej między innymi także oddania krajowi dóbr koronnych, w hotelu Meissla układali się między sobą o zadzierżawienie tych dóbr, targując skórę niedźwiedzia chodzącego po lesie — tak pana Grocholskiego konferującego poufnie o skład komitetu, spotkało: że sąsiad mieszkający tuż obok, mimowolnie podsłuchał, co na konferencjach mówiono. Po tej przyjacielskiej przestrodze wracam do panów marszałków.

Na ogólnem zebraniu w ratuszu lwowskim, pan Grocholski zajmąwszy krzesło przewodniczącego i objawiwszy zgromadzonym marszałkom i ich zastępcom, że Sejm będzie rozwiązany, zawezwał ich, by celem przeprowadzenia dobrych wyborów zamianowali komitet centralny. Na to pan Zyblikiewicz zażądał osobnego komitetu dla zachodniej Galicji; dziwna rzecz, że ci panowie z Krakowskiego tak się kochają w podziale Galicji! Po przeprowadzonej dyskusji nad tym wnioskiem Dra. Zyblikiewicza, zgodziło się zgromadzenie na ten krakowski separatyzm i odroczyło się do popołudnia.

Po południu przedłożono panom marszałkom dwie gotowe listy członków komitetu, jedną dla komitetu na zachodnią, drugą dla komitetu na wschodnią Galicję, przyczem panowie z Krakowskiego zawarowali sobie, że panom ze wschodniej Galicji nie wolno zmieniać listy przeznaczonej dla Galicji zachodniej. Wzajemności ze strony panów zachodnich dla listy wschodniej nikt nie żądał. Kilku ruszywszy ramionami, opuściło salę; reszta poprzepisywała przedłożone listy — i tak wybrano komitety przedwyborcze, które kraj nazwał potem marszałkowskimi.

O programie politycznym lub czemś podobnem nie było mowy. Po dokonanych wyborze oznajmił tylko pan Grocholski zgromadzonym, że komitety ukonstytuują się dopiero, gdy Sejm zostanie rozwiązany i solwował posiedzenie . . .

Mądry Polak po szkodzie! Przysłowie to musiało powstać równocześnie z Polską, i będzie podobno trafnem jak długo istnieć będzie choć jeden Polak. Panowie marszałkowie usłuchali wezwania pana Grocholskiego i przyjechali do Lwowa dla wybrania centralnego komitetu przedwyborczego, chociaż każdy z nich powinien był wiedzieć, że to nie należy do niego; na posiedzeniu żaden z nich nie zwrócił na to uwagi, że ustanawiając taki komitet, wdają się w nie swoją rzecz; nareszcie przepisywali bez szemrania listy członków komitetowych, które im przedłożono. Dopiero gdy rzecz była już skończona, zaczęli narzekać, że to wszystko odbyło się Bóg wie po jakiemu: ci żalowali że w ogóle przyjechali, tamci że na zgromadzeniu milczeli, inni znów że przed głosowaniem opuścili salę — słowem, większa część niezadowoloną była z tego co się stało. Ale jakże mogło się stać inaczej, kiedy oprócz pana Grocholskiego także książe marszałek „poufnie“ radził przybyć na zjazd? Kiedy dalej pan Grocholski „poufnie“ zgromadzonym dawszy do poznania, że Najlaskawszy Pan polecił mu, aby się o dobre wybory postarał, przedłożył zgromadzonym gotową już listę? Bądź co bądź, my Polacy choć na magnatów wydziwiamy, chętnie ich słuchamy; w ogóle zaś słowo Monarchy wielką u nas ma wagę. Przeciw tej ostatniej nawyczce nic bym zresztą nie miał do zarzucenia, zwłaszcza gdy, jak ktoś w Wiedniu powiedział, między Niemcami Cesarz najlepszym jest naszym przyjacielem. Ale zachodzi pytanie, czy rzeczywiście Najjaśniejszy Pan dał p. Grocholskiemu polecenie starania się, by wybory dobrze wypadły? Bogiem a prawdą, tak jest; tylko że jak każda rzecz ma swoje ale, tak i to polecenie Najjaśniejszego Pana nie jest bez ale. Najjaśniejszy Pan dając je p. Grocholskiemu, miał na myśli wybory do Rady państwa, a pan Grocholski zaaplikował słowa monarchy do wyborów poselskich; snąć nie darmo chodził do szkół OO. Jezuitów. Rzecz się zaś tak miała: Po wystąpieniu delegacji z Rady państwa, miał p. Grocholski z p. Wodzickim, jak to już opisałem, audjencję u Najjaśniejszego Pana; wtedy to powiedział Cesarz panu Grocholskiemu: „Jetzt trachten Sie aber, dass die Wahlen gut

ausfallen.“ Że u to wyborach do Rady państwa, a nie o wyborach do Sejmu mowa była, każdy przyzna, skoro zważy, że delegacja wystąpiła z Rady państwa, składając mandaty, i że dwa dni przed tą audjencją Cesarz stanowczo oświadczył się przeciw rozwiązaniu Sejmu galicyjskiego. „Trachten Sie, dass die Wahlen gut ausfallen“ nie mogło więc znaczyć co innego, jak: kiedy już poskładaliście mandaty do Rady państwa, postarajcie się, aby wybory, które w Sejmie do Rady państwa będą musiały być przedsięwzięte, wypadły dobrze. — Pan Grocholski dowiedziawszy się potem od pana prezydenta ministrów o zamiarze tegoż rozwiązania wszystkich Sejmów, spożytkował tę wiadomość również jak powyższe słowa monarsze, i przyznać trzeba, że jeśli to uczynił z własnego natchnienia, udowodnił, że zasługuje być ministrem dla spraw galicyjskich.

ZJAZD STRONNICTW.

Galicja z Wielkiem Księstwem Krakowskiem mają to do siebie, że jeśli u nich cicho, to cicho jak w grobie. Lecz niech tylko kto ruszy się w jakim kierunku, zwłaszcza jeśli się nie żąda pracy, wnet mnożą się naśladowcy jak grzyby po deszczu. Smolce należy się zasługa wprowadzenia gry giełdowej: zaczął grać w roku 1864 i wygrał kilkadziesiąt tysięcy; za nim poszli inni i choć Smolka przegrał potem nie tylko to, co wygrał, ale i to, co przedtem uczciwą pracą był zarobił, a nadto i cudze mienie jemu powierzone, tysiący ludzi grają odtąd na giełdzie i zgrywają się, marnując krocie, zaniedbując gospodarstwo. Książę Sapiaha wybudował kolej Karola Ludwika i Lwowsko-Czernowiecką, i zrobił na nich, szczególnie na drugiej, dobry interes: rzucono się więc na koncesje krajowe; nie minie prawie miesiąc, żeby ktoś z Galicji lub Wielkiego Księstwa Krakowskiego nie podał prośby o Forkoncesję; o tę samą linię ubiega się często kilka, czasem kilkanaście spółek; jedni psują drugim, jedni drugim wyrwywają spodziewane zyski, tracąc pieniądze na przedwstępne roboty i intrygując po biurach ministerjalnych z ujmą sławy narodowej. Podobnie dzieje się z zakładaniem banków. Książę Sapiaha założywszy z Anglikami bank anglo-austriacki w Wiedniu, zaprowadził we Lwowie filję tego banku, podczas gdy pp. Gołuchowski i Alfred Potocki założyli tamże bank hipoteczny na akcje. Nuż zakładać banki! Kto w Boga wierzy, zakłada banki: i mamy bank włościański przez księdza Litwinowicza, bank przemysłowy krakowski przez hr. Adama Potockiego, bank krajowy przez księdza Ponińskiego założony — nawet Smolka założył jakiś bank, co dowodzi, że rwą się do tego także ludzie nie tylko nie mający najmniejszego wyobrażenia

o interesach bankowych, ale nawet ludzie nie mający złamanego grosza w kieszeni, a nadto zadłużeni po uszy.

Kubek w kubek działo się to samo z politycznymi stronnictwami. Długi czas nie było żadnego stronnictwa politycznego i nikt nie czuł potrzeby takowego; lecz skoro powstało jedno, nie było już końca stronnictwom. Panowie Jasieński i Gromann stworzyli we Lwowie Towarzystwo narodowo-demokratyczne, i żeby mieć z kim do walczenia, choćby tylko, jak Don Quichotte, z wiatrakami, wmówili w siebie i w kraj, że jest jakieś stronnictwo Mameluków. To było hasłem do powstania nowych stronnictw, i wnet pojawili się Stańczyki, Rezolucjoniści, a w najnowszych czasach „Koło polityczne“ krakowskie, o którym pozwolę sobie powiedzieć słów kilka, ponieważ o niem świat dotąd mało co wie.

„Koło polityczne“ powstało pod patronacją „Kraju“, który mu też rozgłos nadać usiłuje. Założycielem Koła jest pewien młody człowiek pod względem towarzyskim i w życiu prywatnem zupełnie uczciwy, lecz pod względem politycznym niedowarzony i lekkomyślny; umysłu nie tak rzutnego jak raczej niespokojnego; bez głębszego wykształcenia politycznego, niby skrajny demokrat a niepojmujący ani rzeczywistej wolności, ani politycznego naszego położenia. Zwiąawszy się z tutejszem kółkiem również niedowarzonych polityków, założył on „Koło polityczne“, które co do politycznych kierunków odpowiada lwowskiemu Towarzystwu demokratycznemu. Na publicznych posiedzeniach Koła bywa 15., a najwięcej 25. członków plotących banialuki przed publicznością, która w części z nich się śmieje, ale w części i przyklaskuje im. Koło to wyglądające z bliska bardzo komicznie w oczach ludzi wykształceńszych, inaczej wszakże przedstawiało się w oddaleniu ludziom, zwłaszcza niezbyt wykształconym politycznie, a czytającym szumne sprawozdania „Kraju“ o posiedzeniach Koła politycznego. „Czas“ poczciwy przyczynił się mimowoli do podniesienia znaczenia tego „Koła“, gdyż zamiast traktować je lekko, jak na to zasługiwało, podawał poważne o tej komedji sprawozdania, a potem zaczął z niem polemizować na serjo, tak, iż zaczęto wierzyć, że w Krakowie rzeczywiście istnieje stronnictwo Koła politycznego.

Że w kraju takim jak nasz, który nie tylko z nieprzyjaznym sobie rządem, ale nadto z wewnętrznymi wrogami żywio-

łami ma do walczenia, stronnictwa polityczne dzieląc mieszkańców na obozy, paraliżują wszelką pracę wewnętrzną i tylko wrogom wychodzą na użytek, to nie potrzebuje dowodu. Ponieważ zaś w innych krajach są stronnictwa, więc i my ich zapragnęli, nie pomni, że między Galicją a krajami niepodległymi i politycznie wykształconymi, które sobie za przykład wzięliśmy, najmniejszego nie ma podobieństwa.

Już po pierwszych próbach tęgości, złożonych przez delegację galicyjską z r. 1869, zaczęły się otwierać oczy niektórym zwolennikom potrzeby stronnictw politycznych; ten i ów spostrzegł, że stronnictwa, które się potworzyły, służą tylko osobistym ambicjom; a gdy po wystąpieniu delegacji z Rady państwa pojawił się okólnik pana Grocholskiego, zwołujący marszałków powiatowych na zjazd, celem ustanowienia centralnego komitetu wyborczego, poczuli nawet Tromtadraci najczystszej krwi, że nie czas klócić się z Mamelukami o federację, skoro w kraju zanoszą się widocznie na jakiś zamach ze strony Sapieżyców i Potoczyków. Zaczęli się więc zastanawiać, jakie to zasady polityczne różnią ich od Mameluków, a przekonawszy się, że zasada federacji, którą nie wiedzieć dla czego wywiesili za swą chorągiew, nie ma wspólnego ani z demokracją, ani z polską narodowością, przyszedli do konkluzji, że trzeba się z Mamelukami, którzy są i demokratami i dobrymi Polakami, połączyć celem wspólnej akcji wyborczej. Przedewszystkiem zaś postanowili porozumieć się z Ziemiańkowskim. Lecz Ziemiańkowski, widząc z kim ma do czynienia, na czynione mu z różnych stron propozycje, porozumienia się z demokratami, odpowiadał odmownie; wiedział on bowiem, że Towarzystwo demokratyczne, aczkolwiek mieści w swym gronie kilku uczciwych młodych ludzi, zostaje pod rozkazami człowieka zaślepionego ambicją i nią się jedynie kierującego. Nareszcie gdy nie tylko obywatele nienależący do żadnych stronnictw, ale i polityczni przyjaciele Ziemiańkowskiego, zaczęli nań nalegać, by nie odrzucał sposobności zaprowadzenia w kraju choć częściowej zgody i nie narażał się na odpowiedzialność w obec kraju, gdyby w skutek jego oporu stronnictwo wsteczne kraj opanowało, zgodził się Ziemiańkowski na rokowania z Towarzystwem demokratycznym. Rokowania te rozpoczęły się w kółku złożonym z kilku obywateli nie należących do żadnego stronnictwa, jako to: Zimy, Szmita, Maszkowskiego, Heferna i notariusza

Jasińskiego, którzy zaprosili ze strony Towarzystwa demokratycznego panów: Romanowicza, Młockiego, Popiela, Łubińskiego i Czemerzyńskiego, ze strony Mameluków zaś: Rabata, Zbyszewskiego i Ziemiałkowskiego. Celem pierwszym rokowań miał być wspólny program polityczny, który miał być przedłożony zjazdowi wszystkich stronnictw. Na główne zarysy wspólnego programu zgodzono się z łatwością zaraz na pierwszym posiedzeniu i przedłożono je szerszemu kołu, na które prócz wyżej wymienionych osób przybyli: prezes i wiceprezes Towarzystwa demokratycznego, t. j. Smolka i Widmann, tudzież wydziałowi owego Towarzystwa: Biliński, Gromann i Semilsky. Zarysy owe zostały i w tem szerszem kole przyjęte większością głosów, lecz już wtedy okazało się, że mimo zgodności konferujących, zgoda stronnictw nie miała szansy. Albowiem panowie z Towarzystwa demokratycznego, będąc związani statutami Towarzystwa, oświadczyli że muszą się odnieść do swego wydziału. Tym sposobem to, do czego się ci panowie przy rokowaniach zobowiązali, mogło być unieważnione przez ich wydział, a nawet przystąpienie wydziału nie podawało jeszcze pewności, bo nad wydziałem stoi ogólne Towarzystwa zgromadzenie. Dla tego członkowie konferencji, nie należący do Towarzystwa demokratycznego, chcieli już wówczas zaniechać dalszych rokowań, lecz uspokoili ich panowie z Towarzystwa demokratycznego oświadczeniem, że w sprawie tej ostatecznie decydować może wydział, oni zaś właśnie są tym wydziałem.

Na posiedzeniu wydziału Towarzystwa demokratycznego przyjęto rzeczywiście wszystko, na co się zgodzono na poprzednich konferencjach; Smolka tylko i Widmann byli przeciwnego zdania; mimo to oświadczył Smolka, że się poddaje zapadłej uchwale; a gdy właśnie miał odjeżdżać do Wiednia, upoważnił swego syna Władysława, aby go podpisał na wezwaniu na zjazd, jakie mu Romanowicz przedłoży.

Gdy tym sposobem program wspólny został przyjęty i pozostawała jeszcze tylko stylizacja artykułu III, to jest wyliczenie żądań kraju w myśl rezolucji sejmowej z roku 1868, zażądali Panowie z Towarzystwa demokratycznego, by program ten udzielono krakowskiemu Kołu politycznemu do oświadczenia się, czy nań przystaje. Trzeba bowiem wiedzieć że Koło polityczne dowiedziawszy się o rokowaniach między Towarzystwem demokratycznym i Mamelukami, zażądało także brać udział w roko-

waniach. — Towarzystwo demokratyczne nie mając wówczas jeszcze pewności, czy rokowania z Mamelukami przyjdą do skutku, przystało na rokowania z Kołem politycznym, aby w razie nieudania się zgody z Mamelukami, mieć przy zamierzonym zwołaniu zjazdu stronnictw choć takiego sprzymierzeńca jak Koło polityczne. Alians ten Towarzystwa demokratycznego z Kołem politycznym był wprawdzie nie w smak innym członkom konferencji, lecz gdy panowie Demokraci oświadczyli, że w razie gdyby Koło polityczne nie zgodziło się na en bloc uchwalony już program, oni przy programie stąć będą, nie troszcząc się dalej o Koło polityczne — zgodzono się na udzielenie tego programu Kołu politycznemu, które w parę dni odpowiedziało, że program przyjmuje. Równocześnie z tą odpowiedzią przysłało Koło polityczne okólnik zapraszający na zjazd, podpisany przez Dra Samelсона, prezesa koła politycznego. Okólnik ten miał także podpisać Smolka jako prezes Towarzystwa demokratycznego i Ziemiałkowski jako uznany ogólnie przewodźca tak zwanych Mameluków, czyli stronników byłego klubu polskiego. Podpisaniu tego okólnika i rozesłaniu zaprosin nie stało już tedy nic na przeszkodzie, gdyż program był przyjęty, a pozostająca jeszcze do skutecznienia specyfikacja życzeń kraju w myśl rezolucji sejmowej, powierzoną była komisji złożonej z Zimy, Ziemiałkowskiego i wyznaczonym ad hoc delegatów Wydziału demokratycznego. W tem pan Smolka oświadcza, że na owym okólniku nie położy swego nazwiska, jeśli na nim ma być podpisany także Ziemiałkowski. Była to obelga tem krwawsza, że ją wyrządził człowiek, któremu można była nie jedno zarzucić, człowiekowi niczem nie splamionemu, człowiekowi z którym Smolka miał do załatwienia różne rachunki nie tylko politycznej ale i prywatnej natury. Obelgę tę wszakże połknął Ziemiałkowski na prośbę swych przyjaciół, by nie rozbić zgody która doprowadzoną była już do końca — skoro bowiem wyrzucono z programu zasadę federacji i tak zwaną zasadę nieobselania Rady Państwa, można było przypuścić że na zjednoczony między Demokratami, Mamelukami i Kołem politycznym program, zgodzi się cały kraj, nawet Rezolucjoniści, chociaż nie chcący należeć do rokowań — program bowiem był wydoskonaloną rezolucją. Dowiedziawszy się o tem, że Ziemiałkowski mimo tej obelgi nie zrywa zawartej ugody, Smolka wyjechał do Wiednia w jakiejś kolejowej czy bankowej sprawie, poleciwszy Widmannowi, by

nowe stawiał trudności dojrzeniu ugody, co też Widmann wiernie wykonywał, stawiając warunki niemożliwe do przyjęcia, zwlekając termin zjazdu pod pretekstem że Smolki nie ma we Lwowie, i t. d.

Lecz wyrozumiałość tak zwanych Mameluków, dobre chęci tych Demokratów, którzy rozpoczęli rokowania, a przede wszystkim nacisk członków Konferencji nie należących do żadnego stronnictwa, jak Szmit i Zima — przewyciężyły wszystkie te trudności. Wystylizowano ostatecznie program przy współudziale Kubali, delegata Koła politycznego, oznaczono dzień zjazdu na 8. Czerwca — gdyż Smolka oświadczył, że pierwiej nie będzie mógł wrócić z Wiednia — podpisano zaprosiny i wyprosiny i wysadzono komisję, która miała ułożyć liczbę obywateli zaprosić się mających i rozesłać zaproszenia.

Tak rzeczy stały w połowie Maja, gdy Ziemiałkowski został powołany przez hr. Potockiego na tak zwaną konferencję Notablów do Wiednia. — Wtedy to Smolka znajdujący się także na tej konferencji, napisał do Widmanna, by oświadczył stronnictwom które właśnie zawarły były ugode, że kandydatura Ziemiałkowskiego na posła we Lwowie dopuszczoną być nie może. Zdaje się więc, że Smolka już na owej konferencji Notablów powziął myśl dostania się do delegacji, i postanowił nie dopuścić Ziemiałkowskiego do kurji miasta Lwowa, obawiając się że Sejm, mając do wyboru między Smolką a Ziemiałkowskim, prędzej się oswiadczy sa ostatnim. Uczynił Widmann co mu polecił Smolka, lecz nawet panowie z Towarzystwa demokratycznego uznali nielojalność tego warunku i odrzucili go. Tymczasem komisja zaczęła rozsyłać zaproszenia na zjazd; lecz ponieważ czynność tę poruczono Redacji Dziennika Lwowskiego, pokierowano tam rzecz tak, że obywatele nie należący do żadnego stronnictwa, tudzież stronnicy klubu polskiego albo wcale nie otrzymali wezwania, albo tak późno, że znaczna ich część na czas przybyć nie mogła; czem się stało, że Towarzystwo demokratyczne rekrutujące się prawie wyłącznie we Lwowie, stosunkowo najliczniej na zjeździe reprezentowanym było.

Wilją zjazdu zebrali się reprezentanci klubu polskiego (Kabat, Zbyszewski i Ziemiałkowski), członkowie Wydziału demokratycznego (Widmann, Łubiński, Biliński i Romanowicz), delegaci Koła politycznego (Kubala, Siemiński i Szczepański)

tudzież nienależący do żadnego ze stronnictw obywatele: Jasiński notariusz, Szmit i Zima, by ułożyć tryb postępowania i porządek dzienny tego zjazdu. Gdy drażliwa kwestja przyzdowania na zjeździe poruszona przez Widmana, załatwioną została w ten sposób, iż nie Smolka jak żądał Widmann, lecz ktoś z sędziwych obywateli zaproszonych, na przewodniczącego powołany być ma — podniósł Szczepański sprawę niewysłania do Rady Państwa, która podług przyjętego programu miała pozostać kwestją otwartą, i żądał by kwestja ta na zjeździe stanowczo była rozstrzygnięta. Powstał przeciw temu najpierw Łubiński, wnosząc by na zjeździe nawet dyskusji nie dopuścić nad tą kwestją, jako nie stojącą na programie. Na to zauważał Romanowicz że zaproszeni na zjazd Rezolucjoniści, którzy do rokowań stronnictw przystąpić nie chcieli, i jak świadczą artykuły Gazety Narodowej zjazdowi wręcz byli przeciwni — starać się będą rozbić zjazd, a najlepszym do tego środkiem jest poruszenie kwestji obsełania Rady Państwa; sądził przeto Romanowicz że dyskusja nad tą kwestją na zjeździe jest nieuniknioną, gdyż na wszelki wypadek wniosą ją przeciwnicy zgody — i postawił wniosek: aby, gdy sprawa ta wprowadzoną zostanie na zjeździe, uczynić i popierać wniosek: że zjazd kwestję tę uważa za otwartą. Wniosek ten Romanowicza został przea obecnych przyjęty, i na tem skończyła się ostatnia przedzjazdowa konferencja.

Tego samego dnia, gdy to się działo, przybył wieczornym pociągiem Smolka do Lwowa. Nazajutrz, gdy zaproszeni na zjazd zebrawi się w sali ratuszowej w liczbie 150 kilku, zagaił Smolka posiedzenie kilku słowami i wezwał zgromadzenie do wybrania przewodniczącego. Przez aklamację wybrano Dylewskiego, Marszałka powiatu Drohobyskiego, a skoro ten zajął krzesło, prosi Szczepański o głos, i żąda ku niemałemu zgromadzonych zadziwieniu, by zgromadzenie wybrało komisję do ułożenia programu. Oczywiście zaszło porozumienie między nim a Rezolucjonistami, którzy od czasu zjazdu Marszałków przeszli do obozu Marszałkiewiczów. Był to pierwszy krok do zerwania przedsiębranego zjazdu stronnictw, uważanego za demonstrację przeciw zjazdowi Marszałków, krok dowodzący jak lekce ważą sobie lojalność nasze stronnictwa polityczne. Koło polityczne zgodziło się na pewny program; prezes tego koła podpisał zaproszenie na zjazd na podstawie tego programu; a gdy za-

proszeni się zjechali, członek Koła politycznego, który jako delegat tego Koła kilkanaście godzin przedtem zgodził się na podstawie tegoż programu na tryb postępowania na zjeździe, żąda, jak gdyby o tem wszystkim nic nie wiedział, wybrania komisji do wypracowania programu! Wniosek ten popierany przez Rezolucjonistów wywołał dyskusję, która trwała przeszło godzinę. Przedstawiano panu wnioskodawcy, że program jest, że zaproszonym był znany w skutek zaprosin, i że przez nich za podstawę obrad tem samem, iż przyjechali, został przyjęty; lecz wnioskodawca nie chciał ustąpić, przytaczając za argument tę okoliczność, że program zjazdu przedłożony ułożyły tylko trzy stronnictwa, a na zjeździe są także reprezentanci czwartego stronnictwa, Rezolucjoniści. A gdy ani uwaga, że na zjeździe są także obywatele i to w bardzo znacznej liczbie, którzy nie należą do żadnego stronnictwa, ani przedstawienie że wypracowanie nowego programu zajęłoby parę dni, a przybyli z prowincji obywatele tak długo czekać nie mogą; ani nareszcie uwaga, że podczas dyskusji nad programem przedłożonym każdemu wolno stawiać poprawki i tym sposobem wpłynąć na zmodyfikowanie lub odrzucenie programu — nie wywierało żadnego skutku na wnioskodawcę, widocznem było, że wniosek ten postawiony był na to tylko, aby zjazd rozbić na samym wstępie.

Chcąc tego uniknąć i położyć koniec gorszącej tej dyskusji, zaproponował ktoś, aby obywateli nie należących do żadnego stronnictwa, uważać jako piąte stronnictwo które ktoś na prędce ochrzcił stronnictwem dzikich, i aby, każde z tych pięciu stronnictw wybrało do tej komisji po pięciu członków — co też zjazd przyjął i odroczył się do 5. po południu, do której to godziny komisja miała wygotować program.

Komisja ta, do której należał także Smolka, jako jeden z pięciu delegatów Towarzystwa demokratycznego, wzięła się natychmiast do dzieła; lecz mimo najszczerzej chęci zadania swego w tak krótkim czasie spełnić nie mogła. Przyjąwszy więc z programu zjazdowego pierwsze cztery punkta Ustępu I^o z małemi stylistycznymi zmianami, i z opuszczeniem specyfikacji żądań kraju w trzecim punkcie zawartej, którego redakcję osobnej komisji polecić wносиła, stanęła komisja zjazdowa po południu o 6. godzinie z tem częściowym programem przed zgromadzonymi reprezentantami

Koła politycznego, Demokratów, Mameluków, Rezolucjonistów i Dzikich. — Referentem komisji był Romanowicz.

Po odczytaniu wniosku komisji, którego punkt 1. zawierał wywód upoważnienia naszego do odrębnego stanowiska, punkt 2. określał tę odrębność w stosunku do Monarchji; punkt 3. domagał się odpowiedniego temu stanowisku samorządu, punkt 4. zaś uznawał prawa korony św. Szczepana, tudzież swobody obywatelskie dotychczas uzyskane za nienaruszalne — postawił ktoś wniosek, by te cztery punkta przyjąć bez dyskusji. Na to zażądał głosu Smolka, i oświadczając się także za przyjęciem en bloc wniosku komisji, zaczął rozwijać swój system federacyjny, czyli system grup, i wykazywać, jak wszystko to, co on doradzał, od r. 1848 zacząwszy, udało się, a co odradzał, nie udało się; a mianowicie, jak się jego przepowiednia z roku 1868, że delegacja nic w Wiedniu nie wskóra, spełniła, i że jedynym środkiem, aby koza przysła do woza, jest nie wysyłanie do Rady państwa. „Radziłem“, prawił między innymi, „Węgrom w roku 1861, aby nie szli do Reichsratu; usłuchali mię i dobrze na tem wyszli. Węgrzy nie poszli do Reichsratu, więc Reichsrat przyszedł do nich.“ Nareszcie przewodniczący zwrócił uwagę mówcy, że to wszystko nie należy do rzeczy; lecz Demokraci zaczęli krzyczeć: Niech mówi dalej! Więc przewodniczący umilkł, a Smolka mówił dalej i opowiadał, co radził hr. Potockiemu w Pradze, i jak niedołącznie tam hr. Potocki rzecz całą prowadził. „Potocki wszystko zepsuł, i mówię wam, że na nic się nie przydadzą najpiękniejsze rezolucje sejmowe, dopóki Czechy nie będą zadowolone; więc jeśli chcemy cokolwiek zyskać, powinniśmy się trzymać opozycji prawno-państwowej, to jest: Słoweńców, Tyrolczyków, a przedewszystkiem Czechów; wnoszę przeto: Zjazd uchwała, aby przy nastąpić mających wyborach do Sejmu popierać tylko takich kandydatów, którzy oświadczą, iż pójdą ręka w rękę z opozycją prawno-państwową, a mianowicie z Czechami.“

Można sobie wyobrazić jakie było zdziwienie członków konferencji przedjazdowych. Wypuszczenie z programu zasady federacji i zastrzeżenie zupełnej swobody działania w kwestji wysyłania lub nie wysyłania do Rady Państwa — było warunkiem, pod którym tak zwani Mamelucy przystąpili do rokowań z Towarzystwem demokratycznym; Towarzystwo demokratyczne przystało na ten warunek; Smolka przegłosowany w Wydziale

Towarzystwa oświadczył uroczyście, że się poddaje większości i pozwolił aby go syn podpisał na okólniku zwołującym zjazd, na podstawie programu zastrzegającego zupełną swobodę działania pod względem wysłania do Rady Państwa; pod tym warunkiem tak zwani Mamelucy zawarli ugodę z Demokratami i razem z nimi zaprosili na zjazdy — a tu raptem prezes Towarzystwa demokratycznego stawia wniosek ugodzie wręcz przeciwny! Wśród szmeru który powstał, jeden z Mameluków popatrzył tak znacząco na siedzącego za nim Demokratę, który był członkiem konferencji przedjazdowych, iż ten zdobył się na odwagę zwrócenia uwagi swego prezesa na zawartą ugodę i umówiony program, wedle którego kwestja nie wysłania do Rady Państwa ma być kwestją otwartą. Lecz Smolka na to odrzekł, że go wprawdzie podpisano na zaproszeniu na zjazd, lecz że go program umówiony nie wiele obchodzi.

Godzina była późna odezwały się więc głosy „zamknąć dyskusję“ co gdy zostało uchwalonem, przystąpiono do głosowania. Przyjęto najpierw wniosek komisji; potem gdy ktoś zauważał, że wniosek Smolki należy właściwie do Ustępu III, o którym komisja zjazdowa jeszcze nie referowała, odesłano ten wniosek do komisji z poleceniem aby o nim, tudzież o reszcie programu zjazdowego zdała sprawę na następnem posiedzeniu, które wyznaczono na 9. Czerwca przedpołudniem.

Mimo bardzo późnej godziny zebrała się komisja by rozpoczętą ukończyć pracę i siedziała do 3. po północy. Przyjęto w zasadzie Punkt 5, to jest zobowiązanie się popierania innych krajów Monarchji, któreby się prawowicie domagały takiego samego lub podobnego samorządu; tudzież Punkt 6, orzekający, iż w sprawach wewnętrznych ma się działać w duchu zasad postępowych i dążyć do reformy ustawodawstwa krajowego, a szczególnie ordynacji wyborczej w tym kierunku. Przyjęto także Ustęp II, to jest zastrzeżenie dla każdego ze stronnictw zupełnej swobody w wyborze prawnych środków do przeprowadzenia tego programu. Ustęp III, w którym mowa była o zawezwaniu Towarzystw politycznych, ciał reprezentacyjnych tudzież organów publicznych kraju do przystąpienia do tego programu, jako też Ustęp IV, polecający wybranie komisji do porozumienia się z przewodzcami stronnictw autonomicznych — zostały przez komisję zjazdową z programu wykreślone. Co się zaś tyczy wniosku Smolki, komisja po wy-

czerpującej dyskusji uchwaliła 20. głosami przeciw 5. (Demokratów) zaproponować zjazdowi przejście do porządku dziennego, a uchwalenie rezolucji: że wspólna akcja wyborcza jest życzeniem kraju.

Nareszcie uchwaliła komisja zaproponować zjazdowi, aby po uchwaleniu programu wybrano komitet po 6^{ciu} z każdego na zjeździe reprezentowanego stronnictwa, któryby porozumiał się co do wspólnej akcji wyborczej z komitetem centralnym Marszałków na podstawie programu przez zjazd uchwalonego; w razie zaś gdyby komitet Marszałków programu tego nie przyjął, akcję wyborczą prowadził na własną rękę.

Nadmienić tu muszę, że Smolka przyparty do muru przez kilku członków komisji, na wywody ich iż polityka prawno-państwowej opozycji, którą nam zaleca, prowadzi do rozbicia Austrii i oddania nas w ręce Moskwy, odrzekł bez ogródek: „iż tem lepiej dla nas, im prędzej to się stanie“ — co tak oburzyło obywatela Wieczyńskiego iż zawołał: A to niech mię przedtem wyniosą na Łyczaków (śmętarz główny we Lwowie).“ Nie mniej oburzonymi byli z nim obywatele miasta Lwowa, gdy się na drugi dzień dowiedzieli, jakie to teorje wygłasza ich ulubieniec. Lecz od czegoż się ma Dziennik na własność? Dziennik Lwowski, własność pana Smolki (redagowany przez Widmanna i Bielińskiego, którzy także byli członkami komisji zjazdowej i słyszeli owe słowa Smolki) wydrukował po zjeździe namiętny artykuł przeciw Ziemiałkowskiemu, oskarżający go, że chce kraj oddać w ręce Moskwy. I to się nazywa w Galicji „walką stronnictw“! . . .

Na posiedzenie zjazdowem 9. Czerwca zeszła się już ledwie połowa zaproszonych; obcy odjechali po większej części; było zaś zawsze jeszcze osmdziesiąt kilku obecnych, a między tymi oczywiście nie brakowało ani jednego z Towarzystwa demokratycznego, gdyż to byli miejscowi. — Uchwalono bez długiej dyskusji wnioski komisji co do punktu 5 i 6; przyjęto również po uchwaleniu całego programu rezolucję wypowiadającą życzenie wspólnej akcji wyborczej, i to jednogłośnie; gdy zaś sprawozdawca odczytał wniosek przejścia do porządku dziennego nad wnioskiem Smolki, zaczęli panowie z Towarzystwa demokratycznego hałasować, że nad wnioskiem Smolki nie było jeszcze dyskusji. Dla świętego spokoju zgodzono się nareszcie na dyskusję nad tym wnioskiem, chociaż dyskusja nad dotyczącym

wnioskiem komisji było już zamkniętą dnia poprzedniego. Dano więc głos Smolce jako wnioskodawcy, który podniósł swój wczorajszy wniosek, chociaż przed kwadransem głosował za nie naruszalnością praw korony St. Szczepana, których właśnie prawnopaństwowa opozycja czeska nie uznaje. Czy pan Smolka nie czuł, że w jego postępowaniu leży rażąca sprzeczność? Czy jako przezorny polityk chciał, jak to mówią, zapalić świecę i Panu Bogu i djabłu?

Po przeprowadzonej dyskusji, w której brał także udział znany od roku 1848 Czechoman Malisz, popierając ze zwykłą mu rozwlekłością wniosek Smolki, podał przewodniczący wniosek Smolki pod głosowanie; lecz nim zdołał obliczyć tych którzy wnioskiem powstali, zażądał głosu rezolucjonista Starkel i oświadczył imieniem swego stronnictwa, iż wstrzymują się od głosowania, ponieważ wniosek Smolki przekracza program zjazdu. Za przykładem Rezolucjonistów poszło Koło polityczne, potem tak nazwani Dzicy, a nareszcie i Mamelucy, tak iż głosowali tylko reprezentanci Towarzystwa demokratycznego. Przewodniczący oświadcza tedy, że zjazd nad tym wnioskiem głosować nie chce, gdyż z pięciu reprezentowanych na zjeździe stronnictw, cztery od głosowania się usunęły; poczem przechodzi do następnego wniosku komisji. Lecz Smolka żąda skonstatowania rezultatu głosowania nad jego wnioskiem; przewodniczący przedstawia że to nie możliwe, ponieważ oświadczenia stronnictw, iż wstrzymują się od głosowania, nastąpiło wśród głosowania, przeto nie można widzieć czy ci którzy byli wstali, wstali dla tego że są wnioskiem, czy też dla tego by żądać głosu i protestować przeciw głosowaniu. Atoli uwagi te nic nie pomogły, Smolka żądał ciągle skonstatowania rezultatu głosowania; więc aby zadowolić Smolkę i hałasujących jego zwolenników, przewodniczący z Sekretarzami, między którymi był także Romanowicz, obliczywszy obecnych i tych którzy za wnioskiem Smolki powstali, podał do wiadomości, że obecnych było 86, a za wnioskiem Smolki powstało 34.

Po załatwieniu tej sprawy przystąpiono nareszcie do ostatniego wniosku komisyjnego. Na wniosek ten zgodzili się byli także delegaci Towarzystwa demokratycznego; zdawało się więc że będzie przyjętym bez dyskusji i oporu. Lecz zjazd ten rozpoczęty niespodzianką miał się niespodzianką skończyć. Dr. Semilsky żąda głosu i wnosi, aby wybrano komitet z 30

członków jako centralny komitet wyborczy. Po krótkiej dyskusji, w której wykazywano sprzeczność tego wniosku z zapadłą już jednogłośnie uchwałą rezolucji, wyrażającej życzenie wspólnej akcji wyborczej, gdy wnioskodawca nie chciał cofnąć wniosku, przystąpiono do głosowania, a gdy przewodniczący oznajmił, że wniosek upadł, powstał Smolka i opuścił w Towarzystwie swych Mameluków w liczbie trzydziestu dwóch salę, co wszelako nie przerwało dalszych obrad. Przewodniczący podał pod głosowanie wniosek komisyjny co do komitetu wybrać się mającego, który został przyjęty. Potem uchwalono iż istniejąca już komisja zjazdowa ma być owym komitetem, który się ma co do wspólnej akcji wyborczej porozumieć z komitetem Marszałkowskim, a w razie nieudania się porozumienia, kierować wyborami. Po tej uchwale wszyscy rzucili się ku drzwiom, tak że przewodniczący ledwo miał czas powiedzieć: „zamykam posiedzenie“.

Tak, dzięki wichrzycielom, skończył się zjazd przygotowany przez dwa miesiące z tylu trudami; zjazd po którym się spodziewano zgody między stronnictwami i umożliwienia wspólnej akcji wyborczej.

Nazajutrz zeszła się komisja zjazdowa, by się jako komitet ukonstytuować i co do dalszego postępowania porozumieć. Czekano długo na przybycie delegatów Towarzystwa demokratycznego; nareszcie pojawił się Łubiński i oświadczył imieniem Towarzystwa, iż takowe uchwały wczorajszej co do komitetu nie uważa za ważną, ponieważ reprezentanci Towarzystwa demokratycznego opuścili przed tem salę obrad. Zarzucono przeciw temu, że Smolka ze swoimi opuścił salę cichaczem, bez żadnego oświadczenia, i że nawet nie całe stronnictwo Towarzystwa demokratycznego opuściło salę, gdyż dwóch czy trzech członków tego stronnictwa było obecnych podczas powzięcia owej uchwały; zwrócono nadto uwagę delegata Towarzystwa demokratycznego na złe wrażenie jakie zrobi ten krok Towarzystwa w całym kraju, a szczególnie za granicą, gdzie „niezgoda polska“ stała się przysłowiem; wykazywano mu jak nieprzyjaciele nasi tryumfować będą, gdy się dowiedzą że zjazd stronnictw, po którym tyle sobie obiecywano, spełził na niczem, i to z winy Demokratów. Uwagi te trafiły do przekonania Łubińskiego, który się podjął nakłonić Wydział Towarzystwa demokratycznego do uznania uchwały w mowie bę-

dącej. Starania jego były atoli daremne. Wydział demokratyczny obstawał przy swoim, w skutek czego pozostali w komisji członkowie nie mogli się uważać za komitet przez zjazd ustanowiony, gdyż jak wspomniałem komisja ta składała się z pięciu na zjeździe reprezentowanych stronnictw jako takich; przez usunięcie się więc jednego całego stronnictwa, przestała być ten czem była.

Tym sposobem Smolka nie mogąc przeszkodzić zawarciu ugody z Mamelukami, zniweczył owoce zjazdu. Program polityczny został wprawdzie przyjęty w całości, lecz następstwa praktyczne zjazdu, to jest zreorganizowanie komitetu marszałkowskiego, lub gdyby tenże uchwale zjazdu poddać się nie chciał, naznaczenie tego komitetu piętrem koterji — nie mogły wejść w życie, dzięki panu Smolce i jego zwolennikom, którzy przez swe zachowanie się podczas zjazdu zadokumentowali tyle razy, że ich nie wiąże ani własna uchwała, ani dane słowo, ani podpis, skoro inaczej rozkaże ich Prorok. Mameluki!

WYBORY NA SEJM ROKU 1870.

Już przed zjazdem stronnictw rozwiązane zostały wszystkie sejmy z wyjątkiem czeskiego. Komitet Marszałkowski, czyli raczej komitety Marszałkowskie w Krakowie i we Lwowie były już ukonstytuowane, a gdy zamiar zjazdu zreformowania ich i utworzenia odpowiedniego centralnego komitetu wyborczego spełził na niczem, komitety owe stały się panami sytuacji; komitet bowiem centralny przez Towarzystwo narodowo-demokratyczn ustanowiony, prócz Lwowa nie mógł liczyć na uznanie, jakoż Demokraci prócz Smolki żadnego ze swych kandydatów nie przeprowadzili, a i Smolka nawet byłby upadł, gdyby Świętojurcy, Biurokracja i Ultramontani nie byli nań głosowali przez antagonizm ku Ziemiałkowskiemu.

W okręgach większych właściciele komitety Marszałkowskie znalazły najzupełniejszy posłuch, z wyjątkiem obwodów Kołomyjskiego, Samborskiego, Złoczowskiego i Żółkiewskiego. W okręgach gmin wiejskich miały te komitety wszelką pomoc ze strony rządu; zawiązane bowiem sub auspiciis Prezydenta Ministrów, były na wskroś ministerjalnymi, i gdyby nie chęć przeprowadzenia wszędzie swoich kreatur, wybory w tych okręgach, mogłyby być przy poparciu rządowem wypaść korzystnie. Najslabiej stały komitety Marszałkowskie w miastach; wywarło to bowiem na miasta bardzo przykre wrażenie, że Grocholski na zjazd Marszałków nie wezwał, prócz burmistrza Lwowskiego i Prezydenta miasta Krakowa, reprezentantów tych miast, które mają prawo wybierania osobnego posła. Spozstrzegł się Grocholski i sprosił na 9. Czerwca burmistrzów tych miast, a gdy ci przybyli na zjazd stronnictw, sprosił ich 7. wieczorem na poufną konferencję do mieszkania Krzczunowicza; obawiał się

widocznie by burmistrzowie nie przystąpili do uchwał zjazdu, chciał ich więc związać odrębnym postanowieniem. Lecz burmistrzowie i ich delegaci oświadczyli się większością, iż chcą czekać rezultatu zjazdu stronnictw i życzą sobie by nastąpiło porozumienie i ustanowiony był jeden wspólny komitet; a gdyby to nie nastąpiło, gotowi do istniejącego już Marszałkowskiego komitetu wybrać Ziemiałkowskiego jako reprezentanta miast. Pan Grocholski zauważał na to, że byłoby to wielką kompromitacją zjazdu Marszałków, bo gdy Ziemiałkowski z umysłu pominięty został przy ustanowieniu komitetu, wybór jego przez miasto, byłby za wielką manifestacją na rzecz jego. Burmistrzowie wysłuchawszy to, rozeszli się z zamiarem czekania na rezultat zjazdu. Tymczasem 8, to jest w pierwszy dzień zjazdu w południe Grocholski kazał powywoływać burmistrzów i ich delegatów z sali obrad do mieszkania pana Szemelowskiego, burmistrza Lwowskiego, i tam związawszy ich przyrzeczeniem tajemnicy, jakoś przy pomocy Skwarczyńskiego zastępującego z pełnomocnictwa Stanisławów, i Łobaczewskiego świeżo wybranego burmistrza Przemyskiego, który miał także pełnomocnictwo do zastępowania Jarosławia, doprowadził do wyboru reprezentanta miast w komitecie Marszałkowskim. Wiadomo, że reprezentantem tym był Dr. Wolski.

Gdy Gazeta Narodowa, licząc na związanie się burmistrzów tajemnicą, rzecz tę inaczej przedstawiła, jeden z burmistrzów ogłosił w Dzienniku Polskim list datowany z 12. Czerwca, wystawiający cały przebieg tak, jak go tu podałem; a gdy ani Grocholski ani Gazeta Narodowa listu tego nie sprostowali, sądzę że opowiedziany w nim przebieg wyboru reprezentanta miejskiego do komitetu Marszałkowskiego musi być prawdziwym.

Ogłoszenie wszakże listu tego, i rzucone w nim światło na zachowanie się Grocholskiego przy sposobności owego wyboru, spowodowało gazetę Narodową do wydrukowania w Nr. 150 artykułu pod tytułem: „Akcja polityczna“ w którym chcąc wykazać że Grocholski nie tylko nie występował przeciw Ziemiałkowskiemu, ale owszem starał się go wprowadzić do komitetu, podaje ni z tąd ni z owąd w sześć tygodni po zjeździe Marszałków wiadomość, iż Marszałkowie „pomimo propozycji i zabiegów“ Grocholskiego nie chcieli wybrać Ziemiałkowskiego do komitetu. W odpowiedzi na tę wiadomość nadesłał jeden z Marszałków

obecnych na owym zjeździe, do Dziennika Polskiego list datowany 17. Czerwca, który aczkolwiek dotyczy się zjazdu Marszałków, pozwolę sobie w tem miejscu przytoczyć, ponieważ rzuca światło na sposób, w jaki w roku 1870 prowadzono wybory od samego początku. List ten brzmi: „Zadziwiać to musi, że tak często spotykamy się w Dziennikach z opowiadaniem jakiegoś nieprawdziwego zdarzenia, zwłaszcza gdy się dotyczy zdarzenia, które miało zbyt wielu świadków, o którym przeto piszący z łatwością mógł był powziąć dokładną wiadomość. Do takiego rodzaju mylnych doniesień należy podana w artykule wstępnym Gazety Narodowej No. 150 pod tytułem „Akcja polityczna“, wiadomość, że zjazd Marszałków i delegatów Rad powiatowych, pomimo propozycji i zabiegów pana Grocholskiego, nie wybrał do komitetu pana Ziemiałkowskiego. Jako biorący udział na tym zjeździe, mogę zapewnić, że pan Grocholski propozycji podobnej nie robił, a tem mniej zabiegów jakich ku temu używał. Rzecz cała odbyła się jak następuje: Zgromadzeni przesowie Rad powiatowych i ich delegaci przed południem rozprawiali o kwestji: czy wybrać komitet przedwyborczy, czy nie? A gdy się zgodzono na wybranie, wnieśli obywatele z zachodniej części Galicji żądanie, aby wybrać komitety, osobny w Krakowie, osobny we Lwowie; co gdy po nieco dłuższej rozprawie większością głosów uchwalono, przewodniczący zebraniu Grocholski salwował posiedzenie, odraczając je na 4. po południu. W pośrednim czasie panowie z zachodniej Galicji zgromadzili się u jednego ze swoich kolegów i porozumieli się co do osób, które chcieli mieć w składzie komitetu Krakowskiego. Co zaś do osób mających tworzyć komitet Lwowski, nie było żadnego porozumiewania się, tylko jawiły się na popołudniowym zebraniu kartki ze spisem imion osób, które dziś jako członkowie komitetu Lwowskiego figurują. (Grocholski, Krzeczunowicz, Smarzewski, Gross, Czerkawski, Fränkel, Smolka, Bałutowski) i podawano sobie te kartki wzajemnie do przepisywania. Sam zdziwiony, że bez żadnego poprzedniego naradzenia się i porozumienia, jeden od drugiego przepisuje ułożoną przez kogoś nieznajomego listę, pytałem znajomych mi kolegów, z kąd się ta lista wzięła i kto ją ułożył? i jeden z nich mający dokładniejszą wiadomość objawił mi: że przed kilku dniami było zgromadzenie kilku osób u pana Krzeczunowicza, w którym i pan Grocholski brał udział, i na

tem zgromadzeniu ułożono tę listę. Takie postępowanie zdawało się kilku członkom zjazdu niestosownem, a nawet ubliżającym; albowiem aby przekopiować listę po za zjazdem ułożoną, nie potrzeba było prezesowi Rad powiatowych lub ich delegatom o mil kilkanaście lub kilkadziesiąt jechać do Lwowa. Gdy panowie z zachodniej Galicji, których było około 20. zastrzegłszy sobie, by Marszałkowie i delegaci ze wschodniej Galicji nieznający ich stosunków, do ich wyborów się nie mieszały, sami przepisywali listę do komitetu Lwowskiego przedłożoną; gdy przy tem, obyczajem grzeczności polskiej, [nie jeden z Panów z Galicji wschodniej nie mile dotknięty takim oktrojowaniem listy wyborczej, kopjował onę, i takim sposobem większość była dla niej zapewniona, chociażby za nią tylko mniejszość Panów z Galicji wschodniej głosowała — więc niektórzy członkowie zjazdu cofnęli się całkowicie od wyboru, tak, że gdy na zgromadzenie było sześćdziesiąt kilka osób, zaledwie pięćdziesiąt głosowało, a i z tych jeszcze niektórzy zmienili nieco listę, wpisując na nią imię Ziemiałkowskiego. O tem mogła Gazeta Narodowa od pierwszego lepszego członka zjazdu Marszałków dowiedzieć się, gdyż nie godzi się mylnemi informacjami w publiczności rozżarzać i tak już szkodliwego rozdrażnienia stronnictw.“

Jak długo zapowiedziany zjazd stronnictw wisiał nad komitetami Marszałkowskimi, komitety te zaledwo poufnemi pismami do najzaufańszych Marszałków dawały znak życia. Rezultat rokowań prezydenta Ministrów z Notablami galicyjskimi grubą pokryty był tajemnicą; z wycieczek tylko Gazety Narodowej przeciw Gołuchowskiemu i Ziemiałkowskiemu, o których ten monitor Rezolucjonistów przedzierzgniętych teraz w Mameluków ministerjalnych twierdził, iż z bezwzględną przeciw propozycjom pana Ministra opozycją występowali na owych konferencjach, można było wnioskować, że propozycje te nie musiały być tak bardzo świetne, jak to Narodówka, widocznie inspirowana, utrzymywała. Jakoż rzeczywiście w tajemniczeni zwierniali się półgębkiem, że o odpowiedzialności rządu krajowego przed Sejmem pan Minister nie dał sobie nawet mówić; że w zamian za koncesje, które krajowi wyjednać obcywał, żądał aby Sejm rzekł się reszty żądań w rezolucji zawartych; a nawet szeptano, że jako warunek owych koncesji kładł przyznanie Rusinom ich żądań, wypowiedzianych w znanym

projekcie Ławrowskiego. Były to tylko pogłoski, lecz zawsze dawały one do myślenia, zwłaszcza że komitety Marszałkowskie nie ogłosiły żadnego programu politycznego, z którego by można było wywnioskować ich polityczną wiarę, a tem samem zamiary rządu. W tę też słabą stronę komitetów Marszałkowskich, bezprogramowość, uderzano najbardziej. Lecz komitety milczały jak zakłete. Dopiero po nieudaniu się zjazdu stronnictw, ogłosił Lwowski komitet Marszałków elastyczne wyznanie wiary, że stoi przy „myśli“ rezolucji. Niebezpieczeństwo minęło, dzięki Smolce i jego Mamelukom, mógł więc komitet dworować sobie z opinii publicznej; a nabrawszy otuchy, zaczął się różnie krzątać około wyborów, szczególnie w grupie większych posiadłości, dla której w każdym obwodzie desygnowano jednego z Marszałków powiatowych do zwoływania obywateli na narady przedwyborcze. W tej też grupie z małymi wyjątkami wybrano „swoich“. Tylko w Kołomyjskim, Złoczowskim i Żółkiewskim utrzymali się zwolennicy większości delegacyjnej; w innych obwodach usuwano ich systematycznie a zastępowano zwolennikami Ministerstwa. I tak upadli tacy ludzie jak Barewicz, Bocheński, Chrzanowski, Wężyk, a wybrani zostali Dzwonkowski, Emil Torosiewicz, Wolański Erazm, Tarnowski Jan. Szczególnie zaś zakochał się Lwowski komitet w Starklu: popierał go najpierw w rodzimem jego mieście Tarnowie, a gdy tam upadł, stawiał kandydaturę jego w obwodzie Żółkiewskim, Stryjskim i Złoczowskim; i wszędzie niefortunnie, ale dziwnym jakimś trafem zawsze tam, gdzie ofiarowano krzesło poselskie Ziemiałkowskiemu. W Złoczowie szanowny ten kandydat komitetu Marszałkowskiego dostał lekcycjkę, która i komitetowi protegującemu takiego kandydata nie mogła być przyjemną. Pan Starkel zjechał tam na zgromadzenie wyborców i miał prześliczną mowę; ponieważ powszechnie było znanem, że kandydat ten, którego Tromtadracja w radzie miejskiej dla tego wybrała na reprezentanta Gminy miasta Lwowa w Radzie szkolnej, ponieważ szkół nie skończył — w przeciągu trzech lat, trzy razy zmienił barwę polityczną, przedzierzgnawszy się z Demokraty narodowego na Sapieżyńca, a z Sapieżyńca na Marszałkowicza — więc Pan Kandydat chcąc uprzedzić możliwy zarzut zmienności, wystawił w swej mowie tę wędrówkę z obozu do obozu jako pielgrzymkę w poszukiwaniu prawdy. „Bardzo pochwalam w Panu Kandydacie to szukanie za

prawdą“ rzekł na to jakiś prostoduszny hreczkosiej, „ale my potrzebujemy posła, który już znalazł prawdę“. I przekonał szlachtę.

Miasta mające prawo wybierania osobnych posłów, pozawiazywały sobie komitety wyborcze niezawisłe od komitetu centralnego. W miastach też komitet centralny bardzo mało miał wpływu, tak że właściwie czterech tylko „swoich“ przeprowadził w miastach: Majera i Zyblikiewicza w Krakowie, Czerkaskiego w Rzeszowie, a Wolskiego w Drohobyczy; w innych miastach, gdzie wybrano zwolenników komitetu Marszałkowskiego, wybór należy przypisać całkiem czemu innemu, jak wpływowi komitetu centralnego: i tak, Bogdanowicz w Kołomji a Badeni w Jarosławiu zawdzięczają swój wybór tylko samym sobie. Sawczyński został wybrany w Tarnopolu, ponieważ Żydzi usunęli się od głosowania, nie chcąc się narazić na postradanie szyb w oknach lub jeszcze czego gorszego; Dąbrowski i Fränkel zaś, gdyby ich Marszałkiewicz do „swoich“ zaliczyć chcieli, zawdzięczają wybór swój we Lwowie tej okoliczności, że na nich, jako na „nijakich“ zgodzili się tak Mamelucy jak Trómtadraci. Nareszcie Ławrowski, którego komitet po rezygnacji Ziemiałkowskiego postawił na Stryj, wybrany został tylko tym sposobem, że Żydzi dali mu swe głosy, wołąc nawet Świętojurca, niż kandydata demokratycznego Gromanna.

Co się zaś tyczy wyborów z gmin wiejskich, tu komitet Marszałkowski zrobił kompletne fiasko. Intrygując przeciw dawniejszym posłom z tej kurji, jeśli komitetowi byli niemili, działał, że w zachodniej części zajęli włościanie miejsca kilku posłów z inteligencji, a w części wschodniej dostało się do Sejmu ośm ruskich księży więcej niż ich w roku 1867 było, a między nimi tacy jak Halka, Krasicki, Szaszkievicz, Jajus.

Taki to był rezultat zabiegów komitetu Marszałkowskiego. Znosił się pilnie z Rządem, kokietował trochę z Świętojurcami, trochę z Demokratami, byle tylko nie dopuścić nigdzie „Mameluków“, i udało mu się to w znacznej części, przy pomocy innych stronnictw, których figle wyborcze dla nauki Panów Wyborców opisać nie zaszkodzi.

Świętojurecy od przeszłej jeszcze sesji sejmowej zostający w dobrej komitywie z koterją, która teraz rej wodziła, pomagali jej wiernie wszędzie gdzie szło o usunięcie „Polaka“;

w gminach zaś wiejskich ciągnęli wodę na swój młyn, i tak się stało, że liczba ich w Sejmie z roku 1870 znacznie się powiększyła względnie do roku 1867. Głosowanie Świętojurdów przemyskich na księcia Adama, a Lwowskich na Smolkę, nie sprzeciwia się temu co wyżej powiedziałem: księcia Adama bowiem po przemówieniu jego w kwestji ruskiej podczas przeszłorocznej sesji, mieli za swego: a do popierania Smolki wzywali ich bracia Czechy. Mimo tego nam nieprzyjaznego zachowania się Świętojurdów podczas wyborów, komitet centralny razem z księciem Marszałkiem starali się jak najusilniej przeprowadzić wybór Ławrowskiego na posła, aby mógł być zamianowany Wice-Marszałkiem. Przyjaźń ta księcia Marszałka i pana Grocholskiego do Ławrowskiego zaniepokoiła Świętojurdów do tego stopnia, że go dość niedbale popierali w okręgach gmin wiejskich, skutkiem czego Ławrowski przepadł podczas ogólnych wyborów zupełnie, i dopiero gdy Ziemiałkowski zrezygnował ze Stryja, tamże został wybrany.

Koło polityczne bez wpływu, nie mogło odegrać roli podczas wyborów; jedna wszakże należy mu się zasługa, a tą jest, że chcąc w Krakowie koniecznie przeprowadzić wybór aż dwóch swych Kandydatów: Samelzona i Szczepańskiego, pomogło mimo woli do wyboru Chrzanowskiego, jednego z najzdolniejszych i najpracowitszych członków przeszłego Sejmu, a pominiętego przez komitet Marszałkowski dla tego, że podczas delegacji z roku 1868 nie chciał nosić pańskiej liberji.

Najwięcej hałasu robiło podczas tych wyborów Towarzystwo narodowo-demokratyczne. Związało ono, jak nadmienilem, osobny komitet centralny, a potrafiwszy dzięki opieszałości mieszczaństwa i inteligencji lwowskiej, złożyć komitet dla miasta Lwowa przeważnie ze swoich adherentów, stawiało to Towarzystwo swoich kandydatów po wszystkich okręgach, wyborczych, tak że prawie każdy członek Towarzystwa demokratycznego był kandydatem na posła. Najbardziej zaś szło Demokratom o to, by wprowadzić do Sejmu swego Proroka Smolkę i naczelnego wodza Gromana; to też tak w Stryju gdzie kandydował Gromann, jako też we Lwowie gdzie postawiono kandydaturę Smolki, użyto wszystkich agitacyjnych środków na jaki się tylko dowcip tromtadracki zdobyć potrafił.

W Stryju prowadził agitację osobiście Gromann, przy pomocy kilku swych adjutantów, których tam ze Lwowa przewiózł, tudzież miejskiego Kasjera nazwiskiem Wiherek. Przez cały tydzień pojono przedmieszczan i podburzano przeciw Żydom; nie przyszło tam wszakże do ekscesów, mimo że Gromann upadł, a wybranym został Ziemiałkowski.

Za to Lwów przez trzy nocy był świadkiem burd, które rozpoczęły się wybijaniem okien, a skończyły się zrabowaniem kilku szynków i zniewagą smętarza żydowskiego. Lwowskie Towarzystwo demokratyczne ma tę szczególną cechę „demokratyczną“, że nie cierpi Żydów i prześladuje ich przy każdej sposobności. Chociaż więc pan prezes Towarzystwa przemawia na Sejmie Lwowskim w roku 1868 za równouprawnieniem Żydów, i w zapale swym zapędził się tak daleko, że w poczecie królów polskich wynalazł jakiegoś Abrahamka; chociaż nawet dla zjednania sobie głosów żydowskich postawił we Lwowie kandydaturę Fränkla (który mówiąc nawiasem, z zasadami Towarzystwa narodowo-demokratycznego chyba to miał wspólnem, że w sprzedaży dóbr koronnych nie widział nic zdrożnego) wszystko jakoś nie skutkowało. Żydzi Lwowscy, czy lękając się teorii opozycji prawnopaństwowej cuchnącej juchtem, czy chcąc się pomścić za tylekrotnie od Demokratów doznane krzywdy i zniewagi, zobowiązali się solidarnie nie głosować na pana Prezesa Towarzystwa demokratycznego. Jak to mówię, sztuka do razu się tylko udaje; przeszłoroczna więc sztuczka tą razą nie mogła być powtórzoną, bo mieszczanie zawiązali się w komitet, który podczas wyborów czuwał w ratuszu i przed ratuszem, aby panowie pompiery nie płatali figłów wyborcom mojżeszowego wyznania; pan Burmistrz ze swej strony zdobył się także na większą energję i kazał zamknąć w dzień wyborów kancelaryę Towarzystwa rękodzielniczego znajdującą się w ratuszu, z której to zeszłego roku pan Radny i Demokrata Piątkowski przemycił do sal wyborczych nie jednego, który wszedł do kancelarji bez karty legitymacyjnej, a wyszedł z niej z kartą. Wyborcy więc żydowscy mieli tym razem swobodny przystęp do sal wyborczych; tem mniej zaś nieboszczyków mogło się tam dostać. Tym sposobem stało się, że chociaż panom Demokratom wiernie sekundowali w głosowaniu na Smolkę: Świętojurecy, Czechy, księża i urzędnicy z buchhalterji, poczty, finansowej Dyrekcji i Sztathalterji, ku

wieczorowi już widocznem było że Smolka przepadnie, skoro Żydzi, których właśnie po pozamykaniu sklepów paręset na ratusz przybyło, głosy swe oddadzą. Niebezpieczeństwo było wielkie, lecz od czego rozum? Zakomenderowano więc: Na Krakowskie! Żydów bić! I wnet z rynku na Krakowskie ruszyła łakoma na taką rozrywkę gawiedź, i wnet zabrzęczały pod uderzeniem kamieni żydowskie szyby, podczas gdy gwizdanie i okrzyki: Hurra! dolatywały aż do sal wyborczych. Wtedy rabin Löwenstein pomyślawszy sobie, że dobrze robi, jeśli i wilka nasyci i barana ocali, zaczął perswadować żydom, by już nie głosowali na Ziemiałkowskiego, którego wybór i tak był zapewniony, lecz żeby wszyscy dali swe głosy Smolce, i tym sposobem zażegnali burzę, która na Krakowskiem zaczęła się wypróżniać gradem kamieni. Usłuchali tej mądrej rady żydowscy wyborcy, i dzięki ich głosom prawnopaństwa opozycja zyskała reprezentanta w Sejmie Lwowskim.

Lecz jakież było zdziwienie Izraela, gdy po ogłoszeniu imion wybranych posłów, między którymi było i imię Smolki, rozległ się na rynku okrzyk: do Smolki a potem na Żydów. Sprawdziło się tu przysłowie Talmudu: „Jeśli kamień upadnie na dzban, biada dzbanowi; niech się co chcee stanie, zawsze biada dzbanowi“. I tu się okazało, jak fałszywem jest rozpowszechnione u nas zdanie, że Lwowska Demokracja Narodowa przeciwną jest wszelkiej organizacji. Przyzna mi to każdy, kto widział ów pochód do Smolki i towarzyszące mu wybijanie okien. Ledwie dano hasło, a tysiąc studencików, szewczyków i różnego rodzaju pacynów wyrosło jakby z ziemi; jacyś ludzie starsi objęli wnet komendę, a umieściwszy się między tą halastrą w pewnych odstępach, zaczęli wydawać rozkazy ustnie lub za pomocą piszczałek. A z jaką gotowością wykonywano te rozkazy; z jaką precyzją wołano przed Smolką: Wiwat! a Mamelukom i Żydom wybijano okna! — „Owacja“ ta dla Smolki wyprawiona kosztem kilku tysięcy szyb przeciągnęła się aż późno po północy. Na drugi dzień rano zapowiedziano, że owacja ta powtórzy się w wieczór i powtarzać się będzie tak długo, dopóki Ziemiałkowski nie złoży mandatu. Jakoż rzeczywiście około 9. w wieczór zaczęły się pojawiać na wałach hetmańskich coraz liczniejsze gromadki, które posuwając się jednym skrzydłem w Sykstuską, a drugim w Szeroką zabawiały się przez parę godzin wybijaniem szyb, z czego

korzystając jacyś łotrzy zrabowali szynk i jedną czy dwie trafik. Bóg czuwał (bo policja spała) że się na tem skończyło. Zamierzano bowiem burdę na większą skalę: „był to piątek, więc jako w dzień targowy było w mieście dużo ludu wiejskiego z okolicy, a jacyś łotrzy korzystając z „agitacji wyborczych“ (tak o tych ekscesach pisała c. k. Gazeta Lwowska) postanowili wciągnąć w nie wieśniaków, opowiadając im że Żydzi napadli i zbezczeszili kościół — i inne niestworzone rzeczy; podczas gdy inni demonstrowali patriotycznym przedmieszczanom, że trzeba wezwać Moskali, zrabować za ich pomocą Żydów, potem zaś podpaliwszy miasto, wypędzić Moskali i tak odbudować Polskę!

W następujący dzień, to jest w Sobotę, zaczęto mówić po mieście, że przygotowuje się napad na Żydów, podczas gdy będą zgromadzeni w bożnicach. Żydzi przestraszeni, wyprawili deputację do prezydenta Rządów krajowych. Burmistrz nie chcąc się spuszczać na opatrność Boską, zwołał nadzwyczajną radę miejską, na której wybrano komitet bezpieczeństwa z obywateli miejskich; Smolka zaś ogłosił plakatami, że „nie życzy sobie owacji“, wzywając przytem aby nie turbowano Żydów. Plakaty te uwiadamiały publiczność poniekąd oficjalnie, że się zanoszi na „nową owację“ dla Smolki, i na jakąś burdę z Żydami. Wzmianka o „owacji“ drukowana była Cyceronem, upomnienie zaś by Żydów nie turbowano, Petitem. Rozciekawiona pogłoskami i plakatami temi publiczność zaczęła się pod wieczór gromadzić po placach i spacerach; ulicznicy probowali tu i owdzie wybijać okna, lecz do ekscesów nie przyszło w mieście, bo członkowie komitetu bezpieczeństwa rozpraszali ich, bądź to prośbą i perswazją, bądź to groźbą aresztowania. Podczas gdy tym sposobem mieszczanie utrzymywali jak mogli porządek w mieście i bliższych przedmieściach, jakaś hołota, po większej części z braci Czechów złożona, zebrała się koło żydowskiego smętarza, powybiła okna w żydowskim szpitalu, i zrobiwszy wyłom w murze otaczającym smętarz, wpadła na smętarz i zaczęła wywracać grobowce. Patrol wojskowy położył koniec temu świętokradztwu, któremu jak wieść niesie, dowodził kleryk z ruskiego Seminarjum znany Moskalofil.

A cóż, zapyta może`ktoś, robiła przez ten czas władza bezpieczeństwa? Władza ta, jak to wyczytać można w Gazecie

Lwowskiej z 11. Lipca 1870 „nie chcąc być stronniczą w obec walczących stronnictw“ zachowywała się neutralnie podczas tych „agitacji przedwyborczych“. Piękne mi agitacje wyborcze, które wybijaniem okien, rabowaniem sklepów i zniewagą grobów się praktykują przez trzy dni po dokonanych wyborach. Co się zaś tyczy okazanej tu przez władzę bezpieczeństwa nieparteczności, słusznie nasz „Czas“ zauważał, że władzy tej nie wolno być nieparteczną w obce stronnictw, z których jedno rabuje a drugie jest rabowanem.

W niedzielę nareszcie policja zdecydowała się wyjść z dotychczasowej neutralności, i oświadczyła szanownej ulicy plakatami, że dłużej nie będzie cierpieć podobnych owacji; i jak nożem uciął, skończyły się „agitacje wyborcze“.

SEJM Z ROKU 1870.

Zwołany pośród wypadków zagrażających całemu dotychczasowemu porządkowi europejskiemu, Sejm Lwowski, nie zdołał podnieść się do wysokości sytuacji. Monarcha po raz pierwszy odezwał się wprost do Sejmu, a wskazując na owe groźne wypadki i możliwe ztąd dla Monarchji niebezpieczeństwo, wzywał do niezwłocznego wyboru delegatów do Rady Państwa. Już sam ten fakt wskazywał Sejmowi konieczność wypowiedzenia, jak się zapatruje na owe zewnętrzne zawikłania, a opinja publiczna domagała się głośno, by przy tej sposobności poruszono najdroższą dla nas sprawę, sprawę polską. Wszakże znaleźli się posłowie, którzy i jedno i drugie odradzali. Hr. Wodzicki Henryk wręcz wypowiedział na zebraniu Koła, że Sejm nie powinien się wdawać w sprawy zewnętrzne, nie tyle dla braku kompetencji, jak raczej ze względu na niepewność sytuacji owymi wypadkami stworzyć się mogącej. Pan Radca nadworny Klaczko z innych znów powodów nie życzył sobie, by w adresie poruszono kwestję polską; był on zdania, że ciągle nasze płacze nudzą już Europę i że niegodne się narodu polskiego. Trudno atoli było pójść za zdaniem tych Panów, bo parcie opinji było zbyt silne; to też komisja do tego przedmiotu wybrana, przyjęła z projektu adresowego Ziemiałkowskiego ustęp odnoszący się do polityki zewnętrznej: „Gotowi jesteśmy do poświęceń, aby za przyczynieniem się Twojem w Europie narazście zapanowało prawo nad siłą, aby narodom obcą uciśnionym przemocą sprawiedliwość była wymierzoną i zabezpieczony

został pokój trwały, na wolności i sprawiedliwości oparty“ — lecz ustęp tegoż projektu, wspominający wyraźnie o sprawie polskiej: „Ufni że potrzeby kraju równie jak nieprzedawnione prawa narodu naszego, w Tobie Najjaśniejszy Panie potężnego znajdują obrońcę“ — osłabiła do niepoznania, a właściwie zniszczyła jego całą doniosłość, wypuszczając słowo „narodu“, i mówiąc tylko o potrzebach kraju i nieprzedawnionych prawach „naszych“. Lękano się użyć wyrazów „narodu naszego“, bo wtedy nikt nie mógł wątpić, że tu mowa o nieprzedawnionych prawach narodu polskiego; użyto więc wyrazów: nieprzedawnione prawa nasze, bo pod tem można także rozumieć nieprzedawnione prawa człowieka, w Grundrechten wszystkim obywatelom austriackim, a więc i nam, zagwarantowane.

Również wahającym się i niejakim był Sejm w sprawie zaprowadzenia obrony krajowej na podstawach narodowych, poruszonej i z niepospolitą znajomością rzeczy bronionej przez posła Chrzanowskiego, a popartej dwiema petycjami. Zamiast zaraz po rozpoczętej wojnie prusko-francuskiej wystawić korpus obserwacyjny w Czechach, coby było nie pozwoliło Bawarii łączyć się z Prusami, a Prusy zmusiło do pozostawienia w domu znacznej części wojsk swoich, Austrija oświadczyła, że będzie ściśle neutralną i nawet zbroić się nie będzie, i umożliwiła tym sposobem, że Prusy wszystkie swoje wojska i wojska Państw niemieckich południowych rzucić mogły na Francję. Żwycięstwo Prus nad Francją, które wówczas gdy Sejm się zebrał, było już prawie niewątpliwem, mogło się stać fatalnem dla Austrii, gdyby ją zaskoczyło nieuzbrojoną; uzbrojenie zaś postępowało bardzo leniwo i jakby od niechcienia. Interes więc własny nakazywał nam upomnieć się, aby nam dano możność bronienia w razie potrzeby naszych zagród; nakazywała również polityka objawić Europie, że w Austrii myślą przecież o obronie. Znaleźli się atoli posłowie, którzy wniosek ten znajdowali niewłaściwym, a nawet niebezpiecznym. Dr. Zyblikiewicz między innymi chcąc uprzeczyć włościan przeciw temu wnioskowi, nie wahał się twierdzić, że wniosek ten dąży do zaprowadzenia nowego ciężaru rekrutowego. Sejm zaś nie śmiać odrzucić wniosku, bo to byłoby niepopularnem, i nie śmiać uchwalić go, bo to byłoby może niebezpiecznem, poszedł za wnioskiem komisji przedstawionym i bronionym przez pana

Grocholskiego, i uchwalił rezolucję wyrażającą żądanie, aby Rząd postarał się w drodze konstytucyjnej o odpowiednią naszym stosunkom zmianę ustawy o obronie krajowej, a gdy to nastąpi, zaprowadził u nas tę obronę krajową; czyli innymi słowy: aby odłożył całą tę sprawę od *graeccas ca-lendas*.

Wspomnieć mi jeszcze pozostaje o wyborach do Wydziału krajowego i do Rady Państwa; charakteryzują one bowiem ten Sejm tak samo, jak opisany właśnie sposób załatwienia poprzednich dwóch spraw.

Nie wiem czy wszystkie żale, jakie miał kraj do swego wydziału, były słuszne; bo już to w Galicji jak zacząć chwalić, to chwałę bez miary; a jak zacząć ganić, to także tracą miarę. Tyle wszakże jest pewnem, że Wydział krajowy, zwłaszcza w ostatnim roku, dał krajowi dość powodów do nieukontentowania. Nadmienię tylko budowę domu obłąkanych, kontrakt z Szarytkami względem głównego Lwowskiego szpitalu i administrację dróg krajowych, nie mówiąc już nic o tem, że panowie wydziałowi bądź to w prywatnych interesach jak książę Marszałek i pan Smolka, bądź w sprawach publicznych jak Gross i Krasieński, większą część roku przepędzali w Wiedniu, tak, że Wydziałem kierowali na przemian książę Marszałek, Krasieński, Pietruski, Gross — a wydział składał się w większej części z tych lub owych zastępców, powoływanych chwilowo na sesję, dla uzyskania potrzebnej do odbywania Sesji liczby członków.

Zaraz też skoro się Sejm zebrał, poruszył na Kole sprawę Wydziału poseł Baum, a upatrując przyczynę złego w tem głównie, że członkowie Wydziału Krajowego są oraz członkami delegacji w Radzie Państwa, uczynił wniosek, że członkowie Wydziału krajowego nie mogą być członkami delegacji; co też uchwalono po dłuższej dyskusji, w której nie szczczędzono nagany ustępującemu Wydziałowi. Zdawało się więc, że z wyjątkiem Pietruskiego któremu ogólnie oddawano sprawiedliwość, żaden z członków ustępującego Wydziału, na powrót nie będzie wybranym. Lecz gdy przystąpiono do głosowania, wszyscy dawniejsi Wydziałowi otrzymali większość głosów, z wyjątkiem Smarzewskiego, któremu największy jego przeciwnik nie odmówi wysokich zdolności, a którego zastąpiono Hallerem

dotychczas zastępcą, autorem osławionego kontraktu z Szarytkami.

Już z tego głosowania można było wnioskować jak wypadną wybory do Rady Państwa. Prezes Wydziału życzył sobie ludzi posłusznych i otrzymał ich; dla czegoż predestynowany prezes Koła polskiego miał być gorzej traktowanym? Grocholski pamiętny, jak gładko na zjeździe Marszałków przeszła ułożona naprzód lista członków komitetu wyborczego, ułożył listę członków delegacji, którą stronnictwo Ministerjalne, to jest partja Grocholskiego i partja Krakowska, przy pomocy Świętojurców przeprowadziły co do joty, i tak gładko, że tylko przy wyborze z kurji miasta Lwowa sztuka nie udała się od razu. Między Dąbrowskim, Fraenklem, Smolką i Ziemiańkowskim trzeba było wybrać jednego delegata. Stańczyki nie chcąc w żaden sposób dopuścić Ziemiańkowskiego do delegacji, lecz nie chcąc także dać głosu ani Żydowi ani Demokracji narodowemu, głosowali na lakiernika, który kandydując na posła z całą prostoducznością przyznał się, że o polityce nic nie rozumie. Tym sposobem, gdy partja Grocholskiego, partja Smolki i Świętojurcy głosowali na Smolkę, a reszta na Ziemiańkowskiego, otrzymał Smolka 55 głosów, to jest 34 Świętojurców, 17 Grocholezyków i 5 Demokratów — Dąbrowski 22 głosów Krakowskich, a Ziemiańkowski 54 głosów Mameluckich. Ponieważ nikt z nich nie otrzymał absolutnej większości, przystąpiono do powtórnego głosowania, przy którym Stańczyki dali swe głosy Smolce, manifestując tem, że wolą mieć w delegacji prezesa Demokratów Lwowskich, niż „nieprzyjaciela“ hr. Potockiego, tak bowiem dla dogodności nazywano wówczas Ziemiańkowskiego. O ile wiem, dał Ziemiańkowski za nadto wiele dowodów przychylności dla hr. Alfreda, by można przypuścić, że Panowie którzy w Sejmie głosili, iż Ziemiańkowski chce obalić hr. Potockiego, wierzyli w to, co w drugich wmówić usiłowali. Zdaje się więc, że Panowie ci usunęli Ziemiańkowskiego z delegacji dla tego, iż chcieli tam mieć samych „swoich“. Zresztą mniejsza o to; ale ciekawą rzeczą jest, że Smolka wybór przyjął. Nie mówię już o tem, że to się nie zgadzało z głoszoną przez niego zasadą nieobsełania Rady Państwa, bo zasadę tę zmieniło krótko jakoś przed Sejmem Towarzystwo demokratyczne, wolno więc było zmienić ją i

panu prezesowi Towarzystwa; ale w Kole poselskiem zapadła była uchwała, że nie wolno być członkiem Wydziału krajowego i członkiem delegacji, a Smolka właśnie został wybranym do wydziału krajowego i to odpowiedziawszy na wy-stosowaną doń interpelację: czy chce cały swój czas poświęcić czynnościom Wydziału, przez stanowcze: Tak. — Ot, dziwnie się jakoś plecie na tym Bożym świecie.

DELEGACJA Z ROKU 1870.

Opisawszy wybór tej delegacji, chciałem na zakończenie postawić jej horoskop: lecz zapytawszy o to mojego „ducha“, otrzymałem odpowiedź: że duchy przyszłości nie widzą, a jeśli czasem przepowiadają przyszłość, że są to duchy złe. Chciałem więc przekreślić napis: „Delegacja z roku 1870“ — i rzecz zakończyć wyżej wymienioną sentencją, że na tym świecie dziwnie się plecie, gdy mi listonosz przyniósł Dziennik Polski. Czytam i czego mi nie chciał, czy nie mógł powiedzieć duch Mameluka, powiedział mi poniekąd Dziennik Mamelucki. Prawda, że nim kieruje duch zły, więc nie można mu wierzyć; dla ciekawości wszakże kochanego narodu podwawelskiego, przepiszę co tam wyczytałem, zwłaszcza, że naród ten nie czytuje Dziennika Polskiego.

Oto w artykule wstępnym Dziennika tego z dnia 13. Października 1870 stoi:

„Jak twierdzi oficjalna historia królestw Galicji i Lodomierji, bywsza delegacja galicyjska porozumiawszy się z hr. Potockim, jako desygnowanym z góry naczelnikiem przyszłego rządu, i zasiągnąwszy pozwolenia z góry — opuściła Radę Państwa, i tym sposobem „obaliła“ Ministerjum centralistyczno-biurokratyczne, które naprzykrzyło się już było niepospolicie wszystkim nie-niemieckim ludom Austrii, wielkiej części Niemców austrjackich, a nawet i najwyższym sferom rządzącym.

Nowe Ministerjum inaugurowało nową erę. Rozpoczęły się rokowania z czeskimi i galicyjskimi mężami zaufania. Zaraz z początku musiało to uderzać każdego nieuprzedzonego, że

nowe Ministerjum, które nam przecież głównie był swój zawdzięcza, bardzo wiele rokuje z Czechami, a bardzo mało z nami. Dla formy tylko powołano do Wiednia kilkanastu posłów galicyjskich, i powiedziano im, że o zupełnej odrębności politycznej naszego kraju nie możemy nawet marzyć, ale że natomiast poczynione nam będą te a te ustępstwa co do zakresu ustawodawczej władzy sejmowej. Między ustępstwami temi najpiękniejsze miejsce zajmowało ustawodawstwo we wszystkich przedmiotach oświecenia publicznego. Mężowie zaufania, jakkolwiek między nimi byli członkowie najgwałtowniejszej opozycji, tak jakoś zmiękli w obec Ministerstwa, wyszłego niejako z naszej poręki, że uczuli się zupełnie zadowolonymi z tych przyrzeczeń i nie tylko odstąpili od zapowiadanego najwyraźniej „grzechotania“ konstytucji grudniowej, od przedziwnie zmyślnego „warunkowego“ nieobesłania“, „warunkowego obesłania“ i „bezwarunkowego nieobesłania“ Rady Państwa, i t. d. — ale nadto utworzyli w kraju dwa komitety, za których pomocą postarali się, ażeby większość nowego Sejmu była ile możności powołaną nowemu Ministerstwu.

Tymczasem zaszły znane z rozlicznych telegramów „groźne wypadki, brzemiennie“, i t. d. Wypadki te, jak już nieraz mieliśmy sposobność nadmienić, nabawiły wprawdzie całą Europę wielkiego kłopotu, ale u nas stały się przeciwnie doskonałym środkiem do wyjścia z kłopotu dla wszystkich tych polityków, których ultraopozycyjne deklamacje zbyt świeżo tkwiły w pamięci publicznej, a którym teraz, w obec prezydenta Ministrów, rodaka, opozycyjne stanowisko wydawało się niewłaściwem, nie polskiem, nawet — nie grzecznem. — Pod pozorem groźnych wypadków, brzemiennych“, i t. d. ominięto doskonale szkopuł, który się przedstawiał w formie koniecznego nawiązania polityki nowego Sejmu do faktu opuszczenia Rady Państwa przez poprzednią delegację. Ominięto także drugi szkopuł, jeszcze trudniejszy: nie ponowiono rezolucji, i wysłano nową delegację do Wiednia z gołemi rękami, i tym sposobem osiągnięto naraz aż dwie korzyści. Najprzód, gdy delegacja wróci z niczem, będzie się mogła tłumaczyć, że ją z niczem wysłano — a powtóre, nie ponawiając rezolucji, nie wyliczając szczegółowo żądań kraju, odwrócono uwagę publiczną od jednego bardzo smutnego punktu, to jest faktu, że

nowe, już nie centralistyczno — biurokratyczne, ale polsko — rumańsko — niejaki Ministerjum, nie ma wcale zamiaru dać nam tego, czego żądamy — i jeżeli co dać obiecuje, to tylko z warunkami niemożliwymi do dopełnienia. (Warunkiem koncesji przyobiecanych Galicji jest, jak wiadomo: 1. że Galicja oświadczy uroczyście, iż niczego więcej już żądać nie będzie; 2. że takie same koncesje nadane będą wszystkim innym krajom, i że kraje te także niemi się zadowolnią).

Otóż wszystkie te nader smutne fakta znikły prawie z pamięci ogółu, ponieważ wiszą nad nami ciągle jeszcze owe „groźne wypadki, brzemienne“, i t. d. Kiedy Sejm tegoroczny wybierał delegację, cała poczciwa i dobroduszna Galicja myślała, że jak największy pośpiech i jak najradykałniejsze złożenie rezolucji i opozycji do aktów jest tu rzeczą i austriackiego i polskiego patrijotyzmu. Poczciwa ta i dobrowolna kraina, o której mowa, wyobrażała sobie, iż jak najprędzej ma być uchwalonym obfity budżet wojenny, ażeby c. k. armia mogła z komfortem wybić Prusaków, Moskali i każdego, coby się nawinał.

I w tak gorącej wodzie kąpaną jest szanowna politykująca publiczność tych podkarpackich królestw, że całe katarakty zimnej wody nie wystarczają, by ją ochłodzić. Oto — dziwnym sposobem w chwili, gdy widocznie zależało na jak najrychlejszem zebraniu się Rady Państwa — nowe Ministerjum rozwiązało Sejm czeski i odwlekło tym sposobem w nieskończoność termin uchwalenia budżetu wojennego. Nic to nie szkodzi, mówiliśmy sobie; Ministerjum chce mieć anti-niemiecką większość w Izbie, bo Niemcy trzymają z Prusakami. Tymczasem Ministerjum próbowało tylko, czy pod pozorem „groźnych wypadków, brzemiennych“, i t. d. nie uda się namówić Czechów, ażeby tak łatwo opuścili deklarację, jak my opuściliśmy rezolucję. Nie udało się; rozpisano bezpośrednie wybory i rezultatem będzie: większość centralistyczna w Izbie, tak samo jaka była za Auersperga, Giskry i Hasnera.

Wśród tego wszystkiego wojna ma się ku końcowi, jakiś czas minie zawsze, nim wybuchnie druga — delegacje wspólne zbiorą się wprawdzie, ale zamiast pieniędzy na wojnę, będą miały do uchwalenia jedynie koszta zapóźno rozpoczętej i niedokończonej mobilizacji, i dopiero wtenczas zapewne dopełni się quantum zimnej wody, potrzebne do ochłodzenia naszej

gorącej polityki. Dopiero wówczas poznamy, że kraj cały wysługiwał się przez kilka miesięcy, przez rok może, najniezręczniejszej kabale, że był sam dobrowolnem narzędziem do utłumienia swoich dążeń do samorządu i postępu — że irytował się, uspokajał i napowrót, dla korzyści drugich. . . .

Zestawiliśmy te uwagi dość jaskrawo z tego powodu, że ucichły od dłuższego czasu wszelkie głosy opozycyjne w naszym dziennikarstwie i w całym kraju w ogóle, i że wydawało nam się potrzebnem, przedstawić dzisiejsze położenie przy bengalskim ogniu tego szowinizmu opozycyjnego, od którego wrzała niedawno cała Galicja, i który teraz znikł gdzieś ze szczeniem, zabierając z sobą nawet wszelkiego ducha krytyki, wszelką opozycję racjonalną. . . .

Tak pisze Dziennik Polski; lecz powtarzam, że Dziennikowi temu, zostającemu pod wpływem złego ducha nie koniecznie trzeba wierzyć. Inny dziennik we Lwowie wychodzący, który dotychczas zawsze tylko ze spuszczoną przyłbicą wchodził w szranki pod kolorami Ministerjalnemi, a teraz nagle, otwarcie zaczął bronić polityki obecnego Ministerstwa, zasługuje pod każdym względem na większą wiarę, jako zostający w najściślejszych stosunkach z naszą delegacją. Otóż organ ten delegacyjny zapewnia nas, iż delegacja wróży nam jeszcze ciągle dużo dobrego ze strony dzisiejszego Ministerstwa, które przekonawszy się, że błędziło chcąc przeprowadzić ogólną ugodę, uderzyło się w piersi i marzy już tylko o ugodzie z Polakami, nad której projektem pracują nawet już bardzo pilnie w Wiedniu!

Qui vivra, verra.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.



E. L. Kasprowicz w Lipsku

poleca się do usług Szanownej Publiczności w pośredniczeniu zagranicą, pod każdym względem, a szczególnie w interesach literackich i z literaturą związek mających, za najniższe procenta. Dla tego zwraca uwagę PP. Autorów, iż chętnie przyjmować będzie w komissję ich utwory, gdyby takowe kosztem własnym w Lipsku i pod jego firmą wydawać zechcieli, ofiarując im najstaranniejsze wykonanie, przy cenach umiarkowanych.

BIBLIOTEKA KÓRNICKA

25531